ROK II. Nr. 36 (85) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 7 września 1930 r.



IDYLLA W PUSTYNI...

GUGLIELMO FERRERO.

Niemcy w walce o życie

Artykuł poniższy, pióra Guglielmo Ferrero, jednego z najsławniejszych, współczesnych, włoskich historyków i publicystów, charakteryzuje dosadnie zaślepienie pewnych kół polityków europejskich co do nowej skóry, jaką przywdział na siebie zaborczy germanizm. Wezwanie do niepoddawania się zbyt pochopnego optymizmowi winien Ferrero zastosować w pierwszym rzędzie do siebie. Wiara jego w pokojową politykę Niemiec stoi w sprzeczności z faktami. A aluzja, w zakończeniu, o pewnych zewnętrznych sprawach, dla których Niemcy muszą jeszcze walczyć, czyż nie może być zastosowane do walki o korytarz gdański i do staro-krzyżackiego hasła: „Drang nach Osten"?

Od niedawna Niemcy coraz bardziej zaczynają ciążyć ponad politycznym horyzontem Europy. Wszystkie poprzednie ograniczenia, któremi Niemcy zostały obłożone po zawarciu pokoju, stały się anachronizmami. Z chwilą opuszczenia przez aljantów pasa nadreńskiego, Prusy odetchnęły pełną piersią. Stały się z powrotem krajem wolnym. Jak jednak w przyszłości skorzystają z tej wolności? Czy wkroczą na drogę pokoju, swobody i międzynarodowej współpracy?

Cała przyszłość Europy zależy od właściwej odpowiedzi na to tajemnicze pytanie. Ażeby nie popełnić błędu i nie wpaść w karygodny optymizm należy uczynić rzeczowy rachunek z przeszłości. Ostatnie wybory wykazały, że prawie trzecia część uprawnionych do głosowania, zarówno mężczyzn jak i kobiet, należy do socjalistów lub komunistów. Nie można jednak przewidzieć zgóry, czy taka lub inna liczba przedstawicieli tych dwóch partji będzie mogła wpłynąć na decyzje Reichstagu. Jak również, czy socjaliści i komuniści będą w stanie stłumić wszelkie wewnętrzne wrzenia nacjonalistyczne. Nowoczesna cywilizacja, która powstała dzięki przeróżnym siłom popędowym, może jedynie się utrzymać, przy nieustannym i ciągłym stanie międzynaroodwej zgody. Republika niemiecka musi przetrwać cały szereg pokoleń, gdyż tradycja problemu monarchistycznego z jednej strony, z drugiej strony zaś nieustannie gotujący się kocioł rewolucjonistów, obiecujących stworzenie w przyszłości raju na ziemi, nieustannie się ścierają, grożąc wewnętrznej równowadze państwa.

Ażeby Europa uzyskała pełną gwarancję pokoju, musi demokratyczna republika budować się na podstawie powszechnego prawa wyborczego. Czyż możemy się spodziewać po Niemcach konsolidacji, nie łudząc się przedwcześnie jakiemiś iluzjonistycznemi nadziejami, wypływającemi nawet z najlepszych chęci?

Niemcy republikańskie, ten ciekawy nowotwór, w którym dawniej nie istniała żadna republikańska partja, musiały wywalczać sobie z trudem swoją nową linję postępowania, przez ostatnie jedenaście lat. Walczyły z rozmysłem i uwagą, by uniknąć gwałtownych wstrząsów. Sprzeciwiając się zaśniedziałym tradycjom klasycznych europejskich rewolucjonistów, którzy w pierwszym rzędzie żądali głowy panującego, pozwoliła nowa republika wszystkim licznym panującym cesarskiego rodu zlikwidować swe majątki i apanaże, oraz wyemigrować w zdrowiu i przy pieniądzach zagranicę. Nie broni im również odbywać, od czasu do czasu, wycieczek krajoznawczo-politycznych po swem byłem imperjum. Dozwala na rozwój prasie monarchistycznej, oraz na przenikanie żywiołów antyrepublikańskich do administracji państwowej oraz do wojska.

Ciekawy to naprawdę okaz republiki, której polityczny węzeł gordyjski trudny jest do rozwikłania. A jednak ona istnieje i kwitnie nazewnątrz handlem. Doszła do tak dużej, wewnętrznej mocy, że np. problem finansowania zbrojeń wszedł na całkiem radykalne tory. Kiedy marszałek polny von Hindenburg został wybrany kanclerzem Rzeszy, cały świat zadrżał mniemając, że nad horyzontem ukaże się znowu upiór Hohenzollernów. Dalszy jednak bieg wypadków przekonał, że obawa była przedwczesna. Mianowicie, dziwna ta republika, powstała w ciężkich godzinach przeznaczeń, napojona ukrytą, lecz nieustannie żywotną nienawiścią do minionych stuleci tyranji. Główna różnica, jaka zachodzi pomiędzy Niemcami a Francją w obliczu wielkiego kryzysu politycznego ostatniego stulecia, polegała na następującem: Niemcy nie zostały opanowane mistycznym entuzjazmem dla sprawy republiki, tak jak to miało miejsce we Francji, przy końcu 18-go stulecia. Jednakże nieustępliwy opór, jaki opanował niemieckich republikanów, nie był tak niezłomny, jak opór Francuzów przez całe ostatnie stulecie. Dowodzą tego zjawiska ostatnich jedenastu lat.

Pozory wskazują na to, że Niemcy są krajem chromającym na atawizm monarchizmu. W rzeczywistości jednak monarchja nie odegrała tak zasadniczej roli historycznej w Niemczech, jak we Francji. To, co uważane było za najpoważniejszy bastjon monarchji w Niemczech, ich podział na drobne państewka, rządzone przez ukoronowane głowy, mogło faktycznie utrudnić tylko drogę dla prądów republikańskich. Straszak monarchizmu w Niemczech, identyfikowany z napastniczą potęgą wojskową, nie wytrzymuje obecnie krytyki. W roku 1848 i 1870 republikańska Francja była krajem, izolowanym wpośród monarchji, które ją otaczają. Dzisiaj role się zmieniły. Niemcy zostały izolowane jako republika pomiędzy republikami, republika, ta bowiem w każdej chwili zdolna jest nadziać koronę. Jednakże ani Hohenzollerni, ani Witelsbachowie są już tam zbyteczni. Role ich się spełniły z chwilą ukończenia wojny. Zbędną jest już ich ręka, by powiązać drobne państewka w jedną silną więź. Proklamowanie nowej monarchji staje się przeżytkiem. A zresztą wojny i zwycięstwa mogą się odbyć śmiało bez pomazańców bożych.

Ciężko jest bardzo, gdy kto się „spóźnia na spotkanie", ponieważ w tym wypadku inni go już wyprzedzili i stają się pionierami. On zaś, chcąc im dorównać, musi stoczyć wiele walk, źle zrozumianych przez jego poprzedników. Losy Europy potoczyłyby się może całkiem inaczej, gdyby liczba republik przed wojną była liczniejsza. Są tego dowody najjaskrawsze we Francji, która wraz ze Szwajcarją była jedynem republikańskiem państwem aż do roku 1918. Historja aljansu francusko-rosyjskiego zawiera potemu całe stosy cennych dokumentów. Dziś, kiedy dwie trzecie Europy jest republikańską, powstała pomiędzy państwami cicha współpraca, dążąca do ułożenia sobie najwygodniejszego życia.

Pomimo wielkich trudności i ciężkich walk, jakie muszą staczać dzisiejsze Niemcy, możemy być pewni, że nie nastąpi w nich żaden przewrót monarchistyczny, któryby powstrzymał państwo w jego dalszym rozwoju. Jest to jedyny pewnik, na którym się opierając, może Europa stabilizować swą politykę pokojową. Istnieją jeszcze pewne zagadnienia polityki zewnętrznej, dla których Niemcy muszą walczyć. Miejmy nadzieję jednak, że sami nowych trudności nie będą wyszukiwali. Wielkie mocarstwa europejskie winny tylko sprzyjać i przyklasnąć nowej niemieckiej republice, której zasadniczym celem jest pragnienie życia.





BĄDŹ TU DZIELNY...

Mój przyjaciel Tytus, jest to człowiek dzielny, mądry i poważny. Są to wszystko zalety, które w dzisiejszych czasach nic dobrego w życiu nie wróżą. Stanowczo lepiej mieć szczęście.

Otóż właśnie Tytus szczęścia nie ma wcale. Ma rozum, ma odwagę, ma wykształcenie, ale szczęścia ani za grosz.

Przed dwoma laty Tytus nareszcie się zakochał. Zakochał się mocno, stanowczo, na całe życie.

Utwierdziwszy się w sile swych uczuć, poszedł do wybranki swego serca i wyznał jej swą miłość, przestraszył się przyszłej teściowej i — ze wzruszenia — zawadził nogą o stolik w salonie, przyczem rozbił saską wazę.

Wobec tego — wobec wazy! — panna powiedziała mu, że jest niedołęga i że ona pokochać może tylko takiego człowieka, który jej potrafi zaimponować odwagą i zręcznością.

Tytus długo rozmyślał, jak to uczynić, aż wreszcie zdecydował się: pojechał do Afryki, gdzie w sercu czarnego lądu polował na lwy i inne dzikie zwierzęta. Przedwczoraj wrócił. Przywiózł ze sobą wagon skór lwich, wagon kłów słoniowych i wypchanego nosorożca.

Wczoraj poszliśmy do damy jego serca, pewni zwycięstwa. Panna przyjęła nas wybuchem radości.

— Jakże się cieszę, że pan wrócił, panie Tytusie. Nie było pana dwa lata! Mam dla pana masę nowin! Przedewszystkiem, co mnie najbardziej raduje: Jasio zdobył pierwszą nagrodę w strzelaniu.

— W jakiem strzelaniu? — spytałem.

— W strzelaniu do sztucznych gołębi. Co za dzielny człowiek! Oddaję mu swą rękę!

Wyszliśmy. Tytus zemdlał dopiero na schodach.

BONZO.

W raju dziecięcym

(Wrażenia z wycieczki dziennikarskiej do kolonji letniej w Zajezierzu)

Drogie ,miłe dzieciaki, wy, Zośki, Maryśki, Wojtki i Staśki — szare, bezbarwne stadko wielkomiejskich wróbelków — gdybyście wiedziały, jakie głębokie wrażenie może sprawić perlisty wasz śmiech i szczebiot beztroski...

Na jedno wspomnienie o dniu, spędzonym wśród was — „coś tam zatyka". Czyżby żal, że już wiosna przeszła, i lato promienne, że minęły dni radości i wesela? Czyż strach przed rozpamiętywaniem wśród zimnych murów miasta, jak byłoby dobrze na świecie, gdyby mogła nareszcie wszechwładna zapanować radość życia *dla wszystkich*, radość, krusząca wszelkie troski i podnosząca każdego przyziemnego człowieczka ku najwyższym szczytom, hen, ponad zwały ciemnych chmur.

Lecz nie o to chodzi. Jeśli „coś nas zatykało" na wasz widok i jeśli dziś piszę te słowa ze smutkiem, to tylko dlatego, że nie zdawałem sobie dotychczas sprawy, iż tak mało potrzeba, aby z was, kochanych i miłych wróbelków, zrobić cudne rajskie ptaszyny. Że zaś tajemnicę tę znają oddawna ci wszyscy, co zajęli się waszym losem i wam poświęcają swe siły — zazdroszczę im. A wy, mieszkańcy wielkich miast, zwłaszcza ci z was, którzy dajecie się opanować zwątpieniu i narzekacie na zmęczenie życiem — naznaczamy sobie spotkanie za rok. Za rok, o tej porze, zawiozę was do kolonji dla dzieci i przekonacie się naocznie, że nie „koloryzuję". I ręczę, że wrócicie „zatkani", przejęci do głębi duszy radością dzieci, iście dziecinną radością. Kto wie, czy wówczas nie rozrośnie się, *przy udziale całego społeczeństwa*, organizacja kolonji letnich do takich rozmiarów, aby *wszystkie dzieci*, bez wyjątku, mogły co roku w ciągu lata zaczerpnąć wesela i zdrowia...

*

Zajezierze. Obóz wojskowy pod Dęblinem zamienia się podczas lata na olbrzymie obozowisko dzieci. Największa ta kolonja letnia w Europie skupia zgórą 2.000 dzieci w wieku od lat 4-ch do 16-tu. Przybywają tu w lipcu z różnych stron kraju, a w końcu sierpnia rozjeżdżają się.

Jakże im tu dobrze, kochanym knotom!



Szpitalik obozowy w Zajezierzu.

Oto w chwili, kiedy zajeżdżamy do obozu, ściągają drużynami do baraków na obiad.

Dzielnie maszerują i śpiewają wesoło. Niczem armja!

Personel uwija się.

— Ani razu jeszcze nie było spóźnienia— podkreśla z dumą inspektor.



Dziatwa gawędzi z wychowawczynią.

Zwiedzamy jadalnie. Koło każdego stołu stoi wychowawca danej grupy. Obdziela dziatwę i pilnuje porządku. Dzielnie sekunduje mu „szarża" zpośród dzieci.

Wcinają...

Aż miło patrzeć, jak smakuje każdy kąsek. Wstaną najedzone, boć obiad, jak się patrzy — z trzech dań.

Wcinają i gaworzą. Jak wróble na wiecu.

Po obiedzie zato, w barakach sypialnych — cisza, jak makiem zasiał. Przez całą godzinę.

A później — znów gry, zabawy, sport — aż do podwieczorku. Najadły się. Herbata z mlekiem, „pajda" chleba z masłem. Na dwór! Zabawa wre do zmroku, poczem zwołują na kolację. Apel wieczorny, modlitwa, mycie się i przygotowanie do snu. O godzinie 8.30 zapanowuje cisza.

I w ten oto sposób upływa miłym dzieciakom dzień za dniem, przez dwa miesiące.

Od czasu do czasu odbywają wycieczkę. W niedzielę zbierają się w obszernej świetlicy na przedstawienie (zademonstrowano nam takie „theatrum" i oklaskiwaliśmy domorosłych aktorów, chóry i balet). Książek w bibljotece ad libitum. Nie brak też i gier towarzyskich, jest nawet i ping-pong.

Czego więcej potrzeba?

*

Dwa tysiące dzieci — to prawdziwa armja. Nic też dziwnego, że personel wychowawczy i administracyjny zajęty jest od rana do wieczora. Personel ten składa się ze 112 osób (nie licząc 128 osób służby). Zwierzchnią władzę dzierży w swem ręku p. dyr. Gołdykowski. Dzielnie sekundują mu administrator, p. Szymankiewicz i inspektor, p. Maciejec. Przemiły i zacny kapłan, ks. Mączyński, czuwa nad duszami dzieci, zaś dr. Dehnel opiekuje się ich zdrowiem. Personel wychowawczy rekrutuje się zpośród nauczycielstwa i studentów.

*

Dzieci, przebywające w kolonji zajezierskiej, zorganizowanej staraniem Rady Szkolnej m. stoł. Warszawy, wysyłane są przez Kasy Chorych i państwowe instytucje monopolowe.

Oddzielną i niezmiernie ciekawą grupkę stanowią t. zw. „gazeciarze", wysyłani przez T-wo Przyjaciół Ulicy. O tych naszych „kolegach" z prasy wypada powiedzieć kilka słów oddzielnie.

Jest ich 52-ch.

Spryciarze nielada — a przemili, chluba troskliwego ich opiekuna, p. dyr. Lisieckiego i wychowawców—pp. Wesołowskiego i Dembowskiego. Wielebym dał za to, żeby każdy z Czytelników mógł zobaczyć, jak wygląda-

(Dalszy ciąg na str. 16-tej)



Grupa „gazeciarzy" z wychowawcami i ks. Mączyńskim.



Partja siatkówki.



Ranna toaleta.

J. MISIEWICZ.

Legenda i prawda o szkołach złodziejskich

Kto czytał Sherlocka Holmesa, ten z pewnością przypomina sobie opis szkoły złodziei kieszonkowych, jaki dał Conan Doyle w jednej ze swych powieści. W barwnym obrazie, jaki na ten temat wysnuł, na plan pierwszy wysuwał się manekin, na którym adepci sztuki złodziejskiej zaprawiali się w umiejętności kradzieży kieszonkowej, bacząc pilnie, by podczas tych operacji nie zadźwięczał żaden z licznych dzwoneczków, któremi manekin był gęsto obwieszony. Muszę przyznać, iż ten sensacyjny fragment powieściowy, wyczytany we wczesnej młodości, utkwił mi tak w pamięci, że kiedy po latach zaciągnąłem się do szeregów policji, pilnie zacząłem badać kwestję autentyczności szkół złodziejskich. Rzeczywistość, z którą się wskutek tego zetknąłem, pozbawiła mnie sporej części złudzeń, z jakiemi zabrałem się do tego badania. Pomimo to, przez wzgląd na szczególnie interesujące szczegóły, związane z zagadnieniem szkół złodziejskich, nie mogę się oprzeć pokusie wysnucia przed Czytelnikiem szeregu opowiadań, jakie na ten temat dało mi się czytać lub słyszeć.

Przed kilku laty wykryła jakoby policja w Warszawie, w znanej dzielnicy złodziejskiej, przy ulicy Krochmalnej, szkołę kieszonkowców. Utrzymywać miał ją znany wyjadacz, Abram „Parch", który „wyszedłszy z kursu" wskutek swych podeszłych lat, poświęcił się karjerze pedagogicznej, na jaką go było stać. Uczelnia ta miała się znajdować w mieszkaniu przeszło 100-letniej Cipy Szachrockiej, która, choć wskutek tak podeszłego wieku nie mogła odgrywać tu czynnej roli, jednak temu ognisku swoistej wiedzy patronowała „moralnie", jakoże miała poza sobą bogatą, a wzbudzającą poszanowanie wśród opryszków, przeszłość kryminalną. Uczniowie rekrutowali się z młodych chłopców, odpowiednio szkolonych i wypuszczanych na miasto „na robotę", zamieszkałych i żywionych w tymże lokalu szkoły. Był to więc swoistego rodzaju internat, w którym za mieszkanie i utrzymanie opłacali się chłopcy przez oddawanie swym protektorom łupów, zdobytych na mieście. Innemi słowy, była to zwykła „melina", czyli kryjówka złodziejska, jakich jest wiele, szczególniej w wielkich miastach. Chodziły wprawdzie słuchy, że w tej rzekomej szkole znaleziono nawet tak wsławiony przez Conan Doyla manekin, zważywszy jednak, że mniemany wykładowca szkoły był kiedyś krawcem i że zawodem tym porał się jeszcze czasami, w chwilach wolnych od swych zwykłych zajęć złodziejskich, należy sądzić, że był to raczej niewinny manekin krawiecki, który w późniejszych relacjach urósł do poziomu wyszukanie pomyślanej „pomocy szkolnej".



Złodziejaszek u debjutu karjery (lat 15)



Ten sam, jako wyspecjalizowany (lat 21)

Przytoczony opis „szkoły złodziejskiej" jest, jeśli chodzi o Polskę, jedyną relacją tego rodzaju, z jaką zdarzyło mi się zetknąć. Z zażenowaniem też muszę przyznać, że pod tym względem stoimy znacznie w tyle za krajami zagranicznemi. A więc w Ekaterynosławiu, szkoła z szeregiem wydziałów, jak „klawiszniki" (mieszkaniowców zwykłych), „ajnbruchowicki" (włamywaczy), „kasiarski" (kasiarzy), „mojkarski" (złodziei-usypiaczy), „szopenfeldziarski" (złodziei sklepowych), „pickpocket" (kieszonkowców międzynarodowych) i t. d. Stosownie do tak szeroko zakreślonego „programu" uczelnia ta miała mieć cały zespół wykładowców, specjalistów już nietylko w zakresie poszczególnych dziedzin, ale nawet i przedmiotów. Na lokal uczelni składał się szereg sal wykładowych, bogato wyposażonych w podręczne „pomoce szkolne" w postaci modeli, fotografji, tablic schematycznych, wykresów i t. p.; pozatem były gabinety specjalne, jak pracownia techniczna dla obznajmiania z systemami zamknięć i zabezpieczeń alarmowych (oczywiście pod kątem otwierania ich, względnie unieszkodliwiania), pracownia chemiczna, kształcąca praktycznie w używaniu środków chemicznych do topienia pancerzy kasowych, usypiania ofiar i t. d. Nauka w tej uczelni miała być tak poważnie traktowana, że jakoby wydawano po ukończeniu kursu w specjalny sposób szyfrowane patenty, które w kołach zainteresowanych były tak cenione, że zapewniały ich posiadaczom przyjęcie do najpoważniejszych szajek. Przytoczony opis, zaczerpnięty z pewnego dziennika amerykańskiego, jest już zbyt fantastyczny, w dodatku zabardzo przypominający w szczegółach nowojorski „uniwersytet złodziejski", opisany przez Conan Doyla — można też śmiało o nim powiedzieć, że został wydrukowany raczej dla zabawienia czytelników, aniżeli dla dania świadectwa prawdzie. Utwierdza jeszcze w tem mniemaniu fakt, że figlarny dziennikarz przezornie umieścił tę uczelnię aż w Ekaterynosławiu, a już do reszty podrywa zaufanie do notatki jej szumny podtytuł: „od własnego korespondenta w Ekaterynosławiu".

Poważniej już przedstawia się wiadomość o wykryciu w lutym 1925 r., w departamencie Sekwany i Marny, szkoły złodziejskiej, w której miały się odbywać wykłady teoretyczne i zajęcia praktyczne. Jednak i to należy przyjąć z dużą rezerwą, zważywszy, że podający tę wiadomość, wybitny kryminolog francuski opatruje ją wielce znaczącem: „podobno", „jakoby". Bodajże tę samą „szkołę" miało na myśli to niemieckie pismo policyjne, które w jednym ze swych zeszytów z r. 1925 umieściło artykuł „Akademja włamywaczy". Według tego pisma, głośny w swoim czasie włamywacz o międzynarodowej sławie, niejaki Jacque Mousset, po wielu latach sławnego żywota, wycofał się z areny, podobnie jak wielki bokser, czujący, że przeszedł kulminacyjny punkt swej „formy". Na podobieństwo też tego rodzaju bokserów, którzy kończą karjerę jako wytrawni trenerzy, postanowił założyć uczelnię złodziejską. Wieloletni, bogaty w doświadczenie żywot uczynił zeń filozofa, który potrafił szereg ciekawych myśli „zawodowych" ubierać w bardzo żywe słowo. Tak, naprzykład, miał zwyczaj pouczać swych wychowanków, że szanujący swój zawód przestępca nie powinien zdradzać wyglądem swego powołania, jakoże dobre maniery i eleganckie zachowanie się odgrywają tu rolę pierwszorzędną. „Tylko porządnie wyglądający ludzie mogą być dobrymi złodziejami" — kończył tę naukę. Wskazując młodszej braci, jak mają zacierać po sobie ślady, zawierał całokształt udzielanych w tej mierze nauk w dowcipnym aforyzmie: „Nie to, co ze sobą zabieracie — kradnąc, ale to, co po sobie zostawiacie, zaprowadzi was do więzienia. Dla pogłębienia tych i tym podobnych nauk, co tydzień odbywały się zajecia praktyczne, których przedmiotem było okradanie poszczególnych pomieszczeń domu Mousseta. Podczas tych „wprawek" sam Mousset tylko przyglądał się milcząco, pozostawiając swym uczniom jak najdalej idącą swobodę działania. Dopiero nazajutrz



Ten sam, w pełni rozkwitu talentu (lat 32)

miewał „wykład", na którym wczorajszą działalność poddawał krytycznemu rozbiorowi, podnosząc dobre posunięcia, a wytykając błędy. Ponieważ opis tej uczelni pochodzi, jak to już zaznaczałem, z zawodowego pisma policyjnego, przeto nie można go odrzucić w całości. I w tym jednak wypadku należy się odnieść z zastrzeżeniem, a to z powodów następujących. O ile odnośny artykuł tylko ogólnikowo opisuje urządzenie „uczelni" i system nauczania, o tyle szczegółowo rozwodzi się nad udziałem w tej szkole.... „słuchaczek" i to rekrutujących się wyłącznie ze służących. Uczył ich Mousset, jak robić odciski kluczów domowych na wosku, w jaki sposób wyjmować naboje z broni swych panów, aby zawiodły ich właścicieli w decydującym momencie, jak sporządzać szkic mieszkania chlebodawców i t. d. Wpajał w nie przytem takie skąd inąd chwalebne zasady, aby zachowywały się wobec państwa grzecznie, posłusznie, potulnie, starając się pozyskać ich zaufanie.

Tyle o *legendzie*, a teraz — prawda.

Czy widzieliście obdarte dzieciaki, wałęsające się bez celu po ulicach miast, tarzające się w brudzie mieszkań biedaków, a jeszcze gorzej — jeśli obracają się od najmłodszych swych lat w występnem środowisku? Jeśli widywaliście te dzieci, spędzające swą młodość w takim rynsztoku życia, to już nawet sami moglibyście odtworzyć sobie przebieg „szkoły" złodziejskiej, jaką przechodzą następnie ci przedstawiciele młodego pokolenia, którym podstaw wychowania udziela ulica, często nędza, a nieraz i występek.

Początki są stosunkowo niewinne. A więc przedewszystkiem ściąganie ze straganów i otwartych wystaw środków pożywienia, tak łakomych dla tych często wygłodniałych dzieci. Wślad zatem następuje już ściąganie łakoci, nęcących oko zabawek, papierosów, butelek z napojami wyskokowemi. Stopniowo kiełkuje zamiłowanie do kradzieży, jako takiej: obok dążenia do wartościowszej zdobyczy rodzi się pociąg do kradzieży jako przygody — tem więcej pociągającej, im sprytniej, śmielej dokonanej.

To wszystko są jednak zaledwie „zabawki dziecinne", jakby to określił rutynowany przestępca, patrzący na świat pod swoistym kątem widzenia. Tak też z biegiem czasu zaczyna myśleć sam podrastający chłopiec, w którym coraz bardziej krystalizuje się myśl uczynienia sobie z przestępstwa procederu. Poczucie braku dostatecznego wyrobienia przestrzega go przed rzuceniem się na większą „robotę" na własną rękę. Zaciąga się więc „na naukę" do jakiegoś starszego złodzieja, zwanego w gwarze złodziejskiej, na podobieństwo rzemiosł uznanych — „majstrem". Zupełnie tak samo, jak i w każdym zawodzie, na początek wysługuje się „majstrowi", a nieraz i „majstrowej" w rzeczach, nie mających nic wspólnego z nauką właściwą. Dopuszczany stopniowo do „roboty", pełni początkowo czynności pomocnicze, biegając z wiadomościami i poleceniami do wspólników, przenosząc „graty" (narzędzia kradzieży), wspinając się do lufcików okiennych i t. p. Kresem tego jest moment „wyzwolin", które następują bądź w drodze gwałtownego zerwania, jeśli „majster" zbyt wyzyskiwał swego pomocnika, bądź w formie przyjaznego rozstania się z „majstrem", jeśli ten rozumie, że wszak każdy człowiek ma dążenie do „przejścia na swoje": przy tak poprawnem ustosunkowaniu wzajemnem rzecz znajduje swój wyraz w uroczystej libacji, po której następuje wyprawienie w świat.

Tak to wygląda „szkoła złodziejska" w świetle rzeczywistości. Obraz to znacznie różniący się od szkoły złodziejskiej w znaczeniu jakiejś ściśle ujętej uczelni.

Zależnie od przyrodzonej zdolności, od posiadanego doświadczenia, od szczęścia, udaje mu się wreszcie grasować bezkarnie przez czas dłuższy lub krótszy. Aż w pewnym momencie „wsypie się", aby w rezultacie pójść do więzienia. Od tej chwili otwierają się przed nim możliwości nabycia „wyższego wykształcenia". Bo i proszę tylko pomyśleć. Przebywając na wolności, złodziej ma ograniczoną możność stykania się tylko z najbliższymi kolegami „po fachu". Zupełnie inaczej w więzieniu: tu nowicjusz więzienny z miejsca dostaje się do grona przestępców wykwalifikowanych, w towarzystwo jakby specjalnie dobrane dla wprowadzenia go w tajniki wyższej umiejętności. Szereg rutynowanych przestępców, którzy w czasie jego przebywania na wolności rozproszeni byli w oddalonych od siebie miejscowościach, ma naraz nowicjusz więzienny tuż przy sobie: na sąsiedniej pryczy, przy sprzątaniu, na spacerze. Dlatego to nowocześnie zorganizowane więzienia starają się otoczyć więźniów celowo pomyślaną opieką, tworząc dla nich kursy dokształcające, organizując zespoły teatralne, koła śpiewacze, urządzając bibljoteki, zajmując rzemiosłami — a to wszystko w tym celu, aby jak najwydatniej zająć więźniów dla oderwania ich od demoralizującego współżycia z towarzyszami.

To jednak wykracza już po za temat niniejszego feljetonu.

GUSTAW NAZMI.

Kurdyjskie powstanie—„wojną" dwóch potęg

W dolinach i jarach gór Agri - Dah — koczownicze plemiona kurdyjskie chwyciły za broń.

Powstańcy grupując się początkowo w perskiej części Kurdystanu — wtargnęli nagle na terytorjum tureckie, znacząc swą drogę paleniem wsi i mordem niewinnych ludzi.

Większe siły powstańców ciągnęły z okolic góry Ararat i osady Bayazid w kierunku strategicznego miejsca na terenie tureckim — wioski Wan, leżącej nad jeziorem tejże samej nazwy.

Ruchy oddziałów kurdyjskich wskazywały na to, że dążą do opanowania miasteczka Bitlis, a tem samem całego tureckiego Kurdystanu, aż po granice Iraku.

Małe oddziałki granicznych posterunków tureckich — nie mogły odeprzeć natarcia powstańców. Zaalarmowane garnizony w Erzerumie, Bitlisie i t. p. wysłały swe oddziały na pogranicze perskie. Jednocześnie w szybkiem tempie skoncentrowano przeciw Kurdom dwa korpusy wojska wspomagane eskadrami lotniczemi, pod naczelnem dowództwem Salih Paszy.

Zaniepokojny wybuchem powstania rząd turecki wystosował do Teheranu ostrą notę — winiąc rząd perski za zaszłe wypadki. Bowiem bandy kurdyjskie organizowały się na terytorjum perskiem i wdarły się do Turcji. Poseł turecki w Teheranie został natychmiast odwołany, a na jego miejsce mianowano Hüsrew Beja, dotychczasowego posła w Sofji.

Angora widocznie doskonale zdawała sobie sprawę, że powstanie nie jest dziełem „zbuntowanych uciskiem" Kurdów, skoro z błyskawiczną szybkością przystąpiono do likwidowania rozbójniczych band.

Armja turecka Salih Paszy, po decydującym zadaniu klęski większym siłom Kurdów pod Zeylan — w pościgu za nieprzyjacielem przekroczyła granicę, zapuszczając się na terytorjum perskie i niszcząc poszczególne oddziałki powstańców, w promieniu przeszło 100 kilometrów.

Wtedy dopiero rząd perski zdecydował się współdziałać z armją turecką w celu zlikwidowania powstania.

Niewątpliwie zaszłe wypadki na granicy, wkroczenie wojsk tureckich na terytorjum perskie — zakończyćby się mogły nie dyplomatyczną pogawędką rządu Ismeta Paszy z Teheranem, lecz poprostu wojną turecko - perską. Jednak Angora niewątpliwie doskonale zdawała sobie sprawę... — czyją robotą było to „powstanie".

Wiadomem bowiem jest' że tak w tureckim, jak i perskim Kurdystanie uwijali się agenci syna powieszonego szejka w czasie powstania Kurdów przeciwko Turkom, przed pięciu laty. Powstanie to zostało wówczas szybko zlikwidowane przez wojska tureckie pod wodzą Kemaleddina Paszy, późniejszego ambasadora tureckiego w Berlinie.

Stwierdzono również, że agenci ci pozostawali na żołdzie angielskiego „Intelligence Service", mającego swą centralę wywiadowczą na Bl. Wschodzie, w Bagdadzie.

Na kilka dni przed wybuchem powstania agenci ci przedarli się z Iraku przez granicę perską i rozpoczęli swą „robotę" w okręgach zamieszkałych przez plemiona kurdyjskie — Dżarbekir, Bitlis, Dżulamerk, Wan i Bayazid. Mając przygotowany teren i pomoc „fachową" angielskiego wywiadu w kierowaniu ruchami „wojsk" kurdyjskich — przygotowane zawczasu po stronie perskiej oddziały Kurdów przekroczyły granicę turecką. Wskazywały na to ruchy oddziałów powstańczych z gór Agri - Dah, kierowane doświadczoną ręką.


Patrol turecki na granicy perskiej.

Polityka „Intelligence Service'u" na Bl. Wschodzie, której szefem jest osławiony „ojciec Arabów" płk. Lawrence nie zmieniła swej taktyki wobec republikańskiej Turcji. Jest taką samą, gdy odgrywając rolę możnej protektorki stała za plecami Grecji, w czasie wojny z armją Mustafy Kemala Paszy.

Turcja zdaje sobie sprawę, że jest grubą przeszkodą w angielskich zakusach rozciągnięcia swej hegemonji nad wszystkiemi plemionami i narodami muzułmańskiemi, jakie znajdują się na drodze wiodącej do Indji. Nic dziwnego więc, że Turcja swą polityką wobec Z. S. R. R. trzyma w szachu Anglję.

Dziwnie to jednak złożyło się, że w czasie krwawej ruchawki na pograniczu turecko - perskiem Sowiety pospieszyły z pomocą Angorze. Nie pod postacią sprzętu wojennego, jak to miało miejsce w czasie wojny z Grekami w Anatolji przed ośmiu laty.

Sowiety wiedzą, że robota „Intelligence Service" zmierzała do utworzenia z tureckiego i perskiego Kurdystanu państwa buforowego, naturalnie pod protektoratem Anglji — odpowiedziały, przy wybitnej pomocy swego wywiadu i wysłanych agentów — nietylko powstaniem Afrydów i zagrożeniem Peshawaru, lecz również pojawieniem się powstańczych band w Iraku.

Cios był wymierzony perfidnie.

Rywalizacja Sowietów i Anglji o wpływy na Bl. Wschodzie przeszła w okres decydującej walki od chwili wybuchu rewolucji w Afganistanie i pozbawienia tronu sowieckiego pupila Aman - Ullaha.

W walce tej nie giną żołnierze Wielkiej Brytanji, ani też krasnoarmiejcy. Lepiej niech giną ci, którzy mają chęć wyciągać ręką kasztany z ognia.

W Moskwie, na specjalnych kursach agitatorskich „uświadamia się" synów Czarnego Lądu, Chińczyków, Afgańczyków, Hindusów i przedstawicieli różnokolorowych ras, zamieszkujących wielkobrytyjskie terytorja i dominja z pod imperjalistycznej pięści John Bulla.

— Droga do rewolucji światowej prowadzi przez bunt narodów i plemion azjatyckich, tworzących podstawę egzystencji potęgi brytyjskiej — oto hasło sowieckich agitatorów.

Nowem niebezpieczeństwem dla Anglji jest sojusz przeciw jej polityce zawarty między Turcją, Persją i Afganistanem.

Sojusz ten nastąpił dzięki polityce sowieckiego ambasadora w Angorze Suryca, ex - czekisty odeskiego G. P. U. Nie oznacza to jednak, aby państwa, które sojusz ten zawarły — szły na pasku moskiewskiego Politbiura.

Przykładem może być Turcja. Dyktatorski rząd Gazi'ego Kemala Paszy, na każdą próbę komunistycznej roboty, ma radykalną odpowiedź — stryczek.

Przed kilku laty brudna, mała osada, a dziś rozbudowywująca się w amerykańskiem tempie Angora, stolica republikańskiej Turcji — staje się centrem nietylko politycznych graczy, ale i miejscem, skąd kierowana jest cała akcja paraliżująca angielskie zakusy.

Położony po przeciwległej (wschodniej) stronie półwyspu cypel Barfleur jest może mniej malowniczy, ale zato bardziej... gastronomiczny. Poczciwy stary Gargantua, gdyby żył, obrałby go z pewnością za stałą siedzibę. Albowiem w Barfleur, ubogiej, acz schludnej rybackiej mieścinie, znajduje się jedna z najlepszych we Francji restauracji.

Samochód zatrzymuje się przed małym, kokieteryjnie ozdobionym domkiem, którego szyld „Hotel Moderne", otoczony jest nimbem plakiet wszystkich Touring i Auto-Klubów świata. Wewnątrz przyjmuje zgłodniałego turystę miła panieneczka i poprzez obszerny salon, prowadzi do sali jadalnej.

Sala dość skromna, z drewnianym pułapem, przybrana nieodzownemi, „na glanc" wyczyszczonemi rondlami, mieści około trzydziestu czyściutkich stolików. Niejednokrotnie zasiadały przy nich ukoronowane głowy.

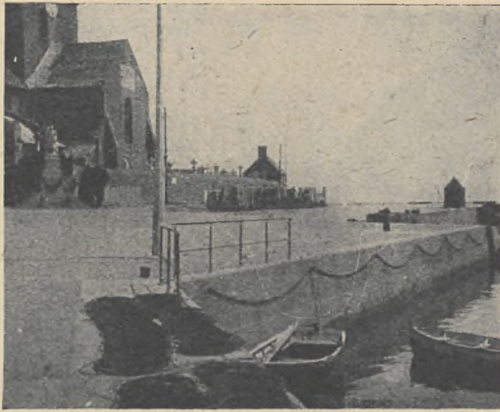
Nie mam talentu Rabelais, aby opisywać owe rozkosze. Przytoczę więc poprostu menu jednego śniadania (lunch'u).

Homar z winegretem. Zimne mięso, sos majonezowy. Bar (ryba morska — palce lizać) z masełkiem. „Blanquette de veau" (cielęcina w potrawce). Groszek świeży z marchewką. Filet wieprzowe lub kurczęta. Kartofle „bonne femme". Sałata. Sery (a discretion). „Murzynka w koszuli" (legomina, sos chaudeau). Truskawki. Biszkopty. Kawa czarna. Cidre (jabłecznik normandzki — a discretion).

A teraz zgadnijcie, ile to wszystko kosztuje? Zapewne majątek... Przecież u nas malutka porcja rodzimych truskawek kosztuje w lepszej restauracji cztery złote.

Uspokójcie się. Tę lukullusową ucztę mieć możecie w Barfleur za cenę franków dwudziestu (łącznie z usługą — szybką, uprzejmą i bynajmniej nie wywierającą na gościa presji „wódczano-zakąskowej"). Czyli za złotych polskich siedem — cenę dwu skromniejszych dań w restauracji warszawskiej. Nic więc dziwnego, że gość wychodzi rozanielony, żegnany miłym uśmiechem gospodyni i kelnerek, obiecując sobie, że przy następnej okazji znów do Barfleur zawita.

Oczywiście, porcje są stosunkowo małe, inaczej żaden przeciętny człowiek nie zjadłby podobnego menu. Ale to jeden dowód więcej, jak mało wymagający są nasi smakosze, ograniczający się do obiadu z dwu, czy 3-ch dań (zwykle bez deseru), ale wzamian przeraźliwie obfitych. Kiedy raz rozmawiałem na



Kościołek i cmentarz nadmorski w Barfleur.

Wieści z Normandji

ten temat z pewnym restauratorem warszawskim, twierdząc, że porcje u nas są stanowczo zbyt wielkie i że lepiej byłoby dawać mniej za niższą cenę, pozostawiając gościom możność ułożenia bardziej urozmaiconego menu — ten odparł: Stosuję się do wymogów publiczności, a zresztą mam w tem własne wyrachowanie...

To „własne wyrachowanie" polega na niezbyt uczciwej kalkulacji. Gość nie jest w możności zjeść olbrzymiej porcji mięsiwa, upstrzonej górą kartofli. Wobec tego połowa wędruje z powrotem do kuchni. Zysk podwójny: wysoka zapłata i możność powtórnego użycia niedojedzonych porcji.

Jeśli dodam do tego, że panienki, usługujące w Barfleur, z uśmiechem wypełniają najgrymaśniejsze zlecenia gościa, że za pieczywo nic się nie dolicza, że wyborowe wina są po cenach... czekolady w warszawskiej kawiarni, że przepiękny widok roztacza się z tarasu „Hotel Moderne" — będziecie mieli wierny obraz tego raju na ziemi i z pewnością nieomieszkacie go odwiedzić, pozostawiając na uboczu obliczone na wyzysk „etranżerów" restauracje w Trouville czy Biarritz.

*

Cherbourg jest po Gdyni bezwarunkowo najruchliwszym „polskim portem". Nasza marynarka wojenna korzysta zeń często i na wspaniałej redzie (jednej z największych sztucznych red w Europie), tam, gdzie ongiś zawijały pancerniki cara Wszechrosji, widnieją teraz smukłe sylwetki naszych kontr torpedowców i łodzi podwodnych.

Kolonja polska w Cherbourgu składa się głównie z oficerów marynarki, przebywających tu w związku z odbiorem nowych jednostek pływających. Nie brak też „cywilów", zatrudnionych w biurach emigracyjnych (Cherbourg jest ważnym portem transatlantyckim, do którego zawijają największe parowce pasażerskie lub handlowe). Stosunki z miejscowemi władzami i ludnością są nader przyjazne, serdeczne nawet. Co zaś się tyczy naszych marynarzy, to tutejsze władze morskie podają ich za przykład karności, obowiązkowości i dobrego zachowania — własnym podwładnym.

Ostatnio bawiła w Cherbourgu eskadra pancerników amerykańskich „Arkansas", „Utah" i „Florida", mające na pokładzie, prócz licznej załogi, 900 kadetów szkoły morskiej w Annapolis. Dało to powód do szeregu uroczystości franko-amerykańskich, na które miejscowy prefekt morski, admirał Basire, zaprosił także oficerów polskich. A że szczęśliwym zbiegiem okoliczności zawinął jednocześnie do Cherbourga O. R. P. „Wilja", transportowiec wojenny, mający na pokładzie 31 podchorążych szkoły marynarki wojennej w Toruniu, więc też nasi przyszli oficerowie „armaty wodnej" mieli okazję zwiedzenia amerykańskich pancerników i zapoznania się z warunkami egzystencji swych zamorskich kolegów.

Zachowanie obywateli „suchej Ameryki" nie było jednak zbyt przykładne. Zaledwie na lądzie — większość dzieci Wuja Sama zaczęła gwałtownie hołdować Bachusowi i Wenerze. Stąd szereg zajść, nie zawsze w porę uśmierzonych przez amerykańską, uzbrojoną w ołowiane pałki, policję morską.

Na szczęście, do poważniejszych zwad nie doszło. Kilku yankesów, którzy bynajmniej nieproszeni ulokowali się w łóżkach tutejszych mieszkanek, wyproszono ostentacyjnie przy „namacalnej" pomocy „sos police". A z wynikłej w jednej z nocnych kawiarni „wojny narodów", marynarze polscy wyszli „obronną ręką". Nazajutrz dowódca „Arkansas" wyraził się do swoich podwładnych, że „Polacy to naród spokojny... ale lepiej z nimi nie zaczynać".

Jim.

JULJUSZ WIRSKI.



Stoltzman puścił kłęb dymu z „havana" (miljarderzy zawsze palą „havana") i pokazał gościowi cygarem — drzwi.

— Jak pan chce — ciągnął człowiek o płóciennej twarzy. — Ja panu zaproponuję spółkę...

— Warjat!

— Sądzę że pan się myli. (Płócienna twarz ożyła nagle i nabrała akcentów siły). Panie Stoltzman, pan teraz „robi" w histerji i neurastenji jak dawniej w nafcie. Niech pan mnie weźmie na parę dni próby. Inaczej „Health Company", djabli wezmą.

Finansista, obserwując niezmiernie zmienną twarz gościa, zamyślił się:—no, dobrze., a co pan umie?

— Leczyć.

— Zgoda! Proszę nazwisko, zawód, kwalifikacje...

Człowiek, nieokreślony z wyglądu, zastanowił się zkolei:

— Nazwij mnie pan, jak się panu podoba, co do zawodu, pisz pan: — zdolny do wszelkich zawodów, a kwalifikacje?... hm... te pokążą się podczas próby.

— All right! Wydam dyspozycje.

I właściciel „Oil Company", oraz „Kompanji Zdrowia" rozparł się w fotelu. Kiedy zaś przyszedł Jim, stary Murzyn, jeszcze pamiętający New-York, pan Izaak Stoltzman pokazał palcem człowieka o wyglądzie wątpliwym:

— Master Strongman *), od jutra lekarz naczelny.

Jim łypnął białkami (murzyni zawsze łypią białkami u wszystkich pisarzy uprawiających egzotykę), zaś Miasto, w ten iście amerykański sposób, otrzymało swego Mocarza.

— — — — — — — — — — —

Miasto rosło. Potężniało wszerz i wzwyż, jak coś szarego, geometrycznego, podstępnie nieugiętego. Wieczorami kwitło, jak zaczarowana oranżerja, kwiatami reklam. W dzień kipiało pracą, pośpiechem, nieuchwytnym rytmem podziemnych radości i klęsk.

Pozatem — wojna! Ona włodarzyła lat dziesięć. Co piąty mieszkaniec — neurastenik. I razem z Miastem potężniała do sześciu kolumn drobnego druku rubryka: — S a m o b ó j s t w a. Więc uchwalano miljony na pomoc. Panowie lekarze długo i uczenie radzili... Przecież nie pomieszczą zakłady wszystkich?! Miasto, jak młyn szatański chwytało ludzi zdrowych, aby ich mózgi przemleć na otręby obłędu. Wreszcie nie zwracano już uwagi na samotne strzały w podmiejskich parkach. Budowało się przecież nowych „buildingów" — sto!

Wówczas to przybył do Miasta pan Izaak Stoltzman — człowiek nafty. Wśród Panów Rady — popłoch: — właściciel Oil Company, choć kiedyś tam Żyd, dziś przecież miljoner! Wzamian za place w śródmieściu zobowiązał się wybudować olbrzymie zakłady wodolecznicze, ze słońcem dziennem w ciągu całej doby. Jak? — to już było jego tajemnicą.

Tymczasem coraz częściej padały samotne strzały, lub rozkołysany trup walił się z 40-go piętra na patentowany szwedzki asfalt. Na posiedzeniu nadzwyczajnem Rady pan Izaak Stoltzman, król nafty, otrzymał place...

W dwa lata potem stanęły prawdziwe cacka spokoju i wdzięku, wille „Kompanji Zdrowia", — „Health Company", jak je nazywał —Stoltzman.

I wtedy zjawił się w pokoju przyjęć finansisty człowiek z pozoru szary:

— Panie Stoltzman, pan te budy wynajmie na letnie mieszkania...

Przecież to jasne, że kiedy miljarder w pięć minut zgadza się na propozycje nieznanego człowieka, człowiek ten musiał na nim robić niebylejakie wrażenie. Istotnie: — doktór miał dziwne oczy i jeszcze dziwniejszą twarz. Oczy stalowe, powiedzmy nawet — szare. Ale w momentach gniewu przez poczerniałą głębię źrenic leciały złote błyskawice. Natomiast radość jaśniała w nich nawet błękitem. Zaś sama twarz? — poprostu płachta żaglowego płótna, płaski kwadrat, rzecz bez wyrazu. Przecież na tej płaszczyźnie pokazał doktór wszystkie stany uczuć — od kamiennego spokoju, do nerwowej, podartej tikami twarzy neurastenika. Istotnie: — współczucie fałdami delikatnego jedwabiu układało się na tej twarzy. Oburzenie, zdziwienie, pogoda, siła, spokój — wszystko miało genjalny, jedyny swój wyraz.

Koroną przecież była maska radosnego spokoju. Izaak Stoltzman trzy dni był w świetnym humorze pod wrażeniem tej ostatniej kreacji doktora:

— Jak myślisz, Jim, ile by dano za takiego w Hollywood?

Jim nie wiedział. Wyszczerzył tylko białe zęby i małpim ruchem złapał pięciodolarowe havana.

— Jesteś głupi, Jim! Ja na nim zrobię dziesięć razy tyle, co na nafcie...

— O, yes! — zawył pocichu murzyn, pełen podziwu dla geniuszu swego pana.

Tymczasem dr. Strongman zasiadł w gabinecie. Za chwilę pierwsza próba: — wejdzie matka, która straciła syna w katastrofie. Owa lady, powiedzmy żona sekretarza stanu, miewa halucynacje: — skłębienie żelaznych belek, a w pętach żelaza — zmiażdżona głowa jedynego. Hydropatje Europy i Ameryki zawiodły.

Nawet uczniowie Freuda załamali ręce. Doktór zamyśla się ciężko. Weszła. W oczach strach. Na widok granitowej maski doktora coś w rodzaju wstrętu. Strongman ma czoło ukryte w dłoniach, złożonych jak do modlitwy. Nagle opuszcza ręce. Cały snop światła, łuna łagodnej rezygnacji, zorza ułności w coś nadludzkiego. Wszystko to idzie na spotkanie zbolałej kobiety.

Ta, jak — matka!... Długo hamowana rozpacz załamuje się w płaczu... Poczem już spokojniej wpatrzone oczy w twarz, pełną skupionego światła.

Doktór bierze jej rękę. Coś mówi. Pociesza? Nie! Ale o duszy nieśmiertelnej twierdzi z pogodnym, nieziemskim uśmiechem. Pani płacze już ciszej...

Koniec. — Jutro proszę przyjść. Pokażę pani kilka kobiet, których synów dałoby się uratować. Pani rozumie? — gruźlica.

Kobieta smutnie pochyla głowę: — och, rozumie; — znaleźć szczęście w ratowaniu cudzego życia...

Po matce romantyczny młodzieniec. Trzy razy strzelał do siebie i trzy razy — źle. Ostatnio rzucił się z mostu Swobody, ale go wyłowiła policja rzeczna. Z tym Strongman ostrożnie. Na twarz wybiega wytwornie cyniczny uśmiech pozatem dumna wzgarda:

— O kobietę?

— Co, pan o tem wie!...

— No tak... Jednak, panie (tu twarz uczyniła się złowroga i cudownie męska), przecież energją, którą pan traci można światy walić!

— Jeszcze pan zrobi ze mnie megalomana.

— Niekoniecznie. Czy pan wie, ile kilowatów jest w godzinie tęsknoty?

— Nie wiem. Sądzę, że tęsknoty nie można mierzyć na kilowaty.

— Owszem, można. Jedną godziną wielkiej tęsknoty, jedną godziną tej energji psychicznej, zamienionej na czyn, zdobyłby pan każdą kobietę.

Młodzieniec zamyślił się:

— Oh, deklamacja. Zaraz każdą!...

— Więc bardzo ukochaną, — poprawia doktór.

Twarz jego ciągle jest młoda, silna, zdobywcza.

— Dziękuję panu, — mówi romantyczny młodzieniec, — światów nie będę walił, ale skończę architekturę. Będę budował... Pal sześć!... Jeśli kocha...

— Otóż to! — w szerokim uścisku dłoni doktora męska serdeczność, w uśmiechu — zuchwalstwo.

Nazajutrz owa pani zbolała, po niej kilka wysokich osobistości ze świata przemysłu. Oszalały z pracy bezsennej naczelny inżynier wychodzi rozpromieniony. Główny inspektor ruchu, kłębek skaczących nerwów, pod kamienną twarzą doktora — skamieniał. Zamienił się w rytm spokoju.

Sam doktór wyszedł na miasto, zareklamowany przez miejskie kina oraz gigantofony. Ulica główna strzeżona przez kordony policji. Doktór szedł zwolna. W jego zjawieniu nie było niespodzianki, a jednak tempo miasta ściągnęły niewidzialne cugle. Może ciekawość tłumu?

Zaś Izaak Stoltzman — szczęśliwy:

— Panie, podpiszemy kontrakt...

— Za miesiąc...

— Nie, zaraz!

Doktór uśmiechnął się tylko: — no dobrze, — powiedział i obojętnie podpisał papier.

— — — — — — — — — — —

„Maszyny wasze muszą szybko pracować, ale wy nie możecie, nie powinniście tej szybkości odczuwać"...

Te słowa zakończyły pierwszy seans zbiorowy dla trzydziestu tysięcy inżynierów i mechaników Miasta. W olbrzymim stadjonie, obliczonym na sto tysięcy ludzi, głos doktora, dzięki udoskonalonym megafonom brzmiał czysto i naturalnie. Z głosu płynęła otucha, zawarta w niepojętej tajemnicy duszy tego człowieka. Specjalne szkła, rozdawane przy wejściu, pozwalały widzieć każde drgnienie tej twarzy skupionej, bijącej w tłum ogromnym spokojem siły. W ciszy działał się tylko spokój, falowała rytmika logiczna okresu przedhistorycznego i nerwy tłumu doznawały radosnego odprężenia. Daleka stacja nadawcza rozpoczęła symfonję heroiczną Bethovena. Utwór przygłuszony dalą i zamyśleniem tłumu cudownie podkreślał słowa doktora, cyzelowane dłutem spokoju i niezachwianej wiary w potęgę duszy.

*) Strongman — człowiek mocny.

Nazajutrz sto tysięcy urzędników, buchalterów, aptekarzy, pracowników pism. Niezgadzające się salda przestały tłoczyć chorobliwie podrażnioną ambicję. Odszedł strach, wynikający z niepewności, czy aby w szalonym pośpiechu czegoś nie zaniedbano. Życie, miotające się w okruchach pracy, której cel nieraz był niewiadomy, nabrało dla tego tłumu wartości innej — stawało się życiem duszy, udzielającej ciału tyle tylko czasu i wysiłku, ile trzeba, aby nie utraciło sprężystości. Jakiś nowy cel ukazywał rzeczy doktór. Gorączkę wysiłku mózgu i mięśni, upał złota, zamieniał na wyzwoloną potęgę życia istotnego.

Pozatem ,w godzinach przedwieczornych, seanse indywidualne dla tych, którzy kierowali. Płaciło Miasto. Setki tysięcy dolarów płynęło do kas Izaaka Stoltzmana za seanse zbiorowe. Po dziesięć dolarów bilet, a przecież nie dolarów tylko zdrowia brak było mieszkańcom Miasta.

Indywidualnie zaś w zależności od stanowiska. Za uciszenie neurastenji naczelnego dyrektora finansów, lub inspektora aprowizacji wpływał do portfelu master Stoltzmana czek na 10 tysięcy! Właściciel „Kompanji Zdrowia" zacierał ręce i coraz częściej zmuszał wiernego murzyna Jima do łapania w powietrzu drogiego havana. Jim wypalał cygaro, życząc swemu panu oraz doktorowi wiele lat życia. Zakłady Zdrowia miały zapewnione powodzenie.

Co innego doktór. Ten w godzinach przedwieczornych przyjmował najwybitniejszych gentlemanów i najwytworniejsze ladys. Kiedy zaś zapadał zupełny wieczór, wymykał się poza Miasto i tam, z twarzą ukrytą w dłoniach...

Ach, nie trzeba mówić, co robił za Miastem doktór Strongman!

Tymczasem Jim w rozterce. Sam nie wie kogo ma uważać za pana. Tłusty i jowialny Izaak płaci dobrze i rzuca świetne cygara (po 5 dolarów sztuka), jak psu kość. Natomiast wysmukły, o płóciennej twarzy doktór nic nie płaci Jimowi i nic nie daje, tylko niekiedy patrzy mu dziwnie w oczy i głaszcze jego kędzierzawą czuprynę. Jimowi pod spojrzeniem bezdennych oczu doktora robi się dobrze. Czasami ma wrażenie, (ale o tem milczy), że jest tyleż wart co sam Izaak Stoltzman... O, Boże!

Przyjeżdżają z dalekich Metropolij panowie. Za uścisk ręki i spojrzenie w jedną z potężnych masek doktora płacą niezachwianą nigdy walutą. Po roku „Health Company" wykupiła od Miasta place i założyła na własny koszt pięćdziesiąt tysięcy hektarów zieleńców. Sztuczne słońce przez 24 godziny na dobę okazało się zbyteczne. Master Stoltzman bawi się w filantropję: — dwa razy na tydzień korzystają z seansów bezpłatnie — robotnicy Miasta!

(D. c. n.)

TURNIEJ „7 DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

Warunki turnieju

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września, artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci BONU NA PORTRT wybitnego portrecisty Jna Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



Marja Modzelewska. (fot. Kisieliński.)

GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Jestem zdania, że przepiękna Marja Modzelewska będzie królową konkursu, ogłoszonego przez „7 DNI". Nic i nikt nie może dorównać jej wdziękowi, który potrafi rozbroić nawet najzagorzalszego „antifeministę".

„Nawrócony".

Kupon № 9 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.

Gigantyczny brzuch Nowego Jorku

Nowy Jork, który niewątpliwie jest stolicą największego obżarstwa — nie umie jeść. Amerykanie nie są ani trochę smakoszami, wprost nie rozumieją ludzi, którzy znajdują przyjemność w samym akcie jedzenia. Amerykanin — człowiek interesu (a innych niema) je poto jedynie, aby zaspokoić głód i aby zaopatrzyć organizm w niezbędna ilość kaloryj. A ponieważ wiecznie się przytem spieszy, je z pośpiechem, pozostawiając każdego dania takie ilości, które by starczyły napewno dla dwóch jeszcze ludzi.

Rzuca się to w oczy, zwłaszcza w Nowym - Jorku. Mieszkańcy przypominają stado dzikich gęsi na zasianym polu: więcej zniszczą niż zjedzą. I dlatego jest Nowy - Jork stolicą największego obżarstwa: osiem miljonów ludności konsumuje tyle zapasów, ileby starczyło dla Londynu razem z Paryżem, Berlinem i jeszcze Warszawą na dokładkę.

*

Spójrzmy co, i w jakich ilościach pochłania codzień potworny brzuch Nowego - Jorku.

Rok rocznie do miasta tego przywozi się ogółem 540.000 wagonów z najrozmaitszemi zapasami żywności, jest to ok. 1.370 wagonów dziennie. Do tej cyfry dodaćby należało jarzyny i owoce, dostarczane bezpośrednio z ogrodów i sadów nowojorskich i jego najbliższych okolic. Mniej więcej połowa całego przywozu (645 wagonów) przypada na owoce i jarzyny. Samych tylko bananów dowozi się w ilości 5.000.000 klgr. Trzydzieści trzy stany Ameryki Północnej żyją z eksportu owoców i jarzyn do Nowego - Jorku. Na wyścigi starają się wszyscy usłużyć panu, który sam nie sieje, nie orze, lecz bez przerwy napycha swój bezdenny brzuch.

Lecz ten wielki pan, choć nie jest smakoszem, bardzo ceni swe zdrowie. Zastanawia się też poważnie nad wartością spożywczą każdego jadła i odżywia się według wszelkich zasad nauki. W Nowy-Jorku jest szereg restauracyj, których menu opiera się na specjalnych studjach naukowych. Przy każdem daniu na karcie wymienione mamy, ile zawiera ono kaloryj. Goście restauracyjni przeważnie nie zwracają uwagi na wysokość cen, a na liczbę kaloryj. Siedzi taki pan z ołówkiem w ręku i kalkuluje — zamówić kotlet cielęcy, czy befsztyk, na deser ciastko, czy kompot? — przyczem zagadnienie to rozstrzyga się wyłącznie sumą kaloryj, a nie smakiem, czy nawet apetytem.

W ostatnich latach kalorje wyszły trochę z mody i miejsce ich zajęły witaminy. Natychmiast więc na kartach restauracyjnych, obok każdego dania ukazały się cyfry, ilustrujące zawartość witamin, ich jakość i gatunek.

Smak amerykanina — a właściwie wymagania, które stawia jadłu — jest bardzo zmienne. I tutaj rządzi wszechwładna moda. Nagle pewnego pięknego poranku staje się modna jakaś nieznana dotychczas jarzyna i fermerzy Florydy, Kalifornji, czy południowej Karoliny zaczynają intensywnie obsiewać swe pola nowomodną jarzyną. Weźmy dla przykładu karczochy, jeszcze przed paru laty nikt się nimi nie interesował. Były objektem sprzedaży jedynie w nielicznych małych sklepikach. Aż tu nagle jakiś uczony specjalista ogłosił, że karczochy mają ogromne własności spożywcze, większe nawet niż szpinak, najbardziej popularna potrawa w Nowym - Jorku. W Kalifornji, na Florydzie w mig chwycono się „karczochowej" konjunktury i do stolicy napływać zaczęły całe wagony modnej jarzyny. W ub. roku Nowy - Jork zjadł 650 wagonów karczochów.

Podobne szczęścia miała i „bukola", jarzyna zupełnie nieznana w Europie. Odkryto w niej nagle całe pokłady witamin i mieszkańcy Nowego - Jorku spożyli w ciągu roku 500 wagonów „bukoli".

Naogół w Nowym - Jorku jedzą wogóle dużo jarzyn: według najnowszych i szczegółowych statystyk przypada 149 klgr. na głowę (a właściwie na brzuch) rocznie (w Londynie 83 klgr.). Prawie trzecią część stanowią kartofle. Dużem zapotrzebowaniem cieszy się też... cebula: 14 i pół klgr. na osobę, następnie szpinak i sałata, których konsumcja w ostatnich latach wzrosła trzykrotnie.

Owocami, spożywanemi w ciągu roku, możnaby napełnić od piwnic do strychu wszystkie największe drapacze chmur Nowego - Jorku. Ameryka ma po temu wszelkie warunki: Stany Zjednoczone obejmują wszystkie niemal strefy klimatyczne, od bieguna do równika. Na terytorjum tem rosną niezliczone gatunki owoców. A że sieć kolejowa dociera wszędzie i z wielką łatwością — przestrzeń nie istnieje, bez przerwy więc płyną do stolicy całe potoki owoców ze wszystkich stanów Ameryki. Nowy - Jork nie zna sezonów dla tych, czy innych owoców, jak to się dzieje w Europie. Ludność nie musi czekać wiosny, aby zajadać się czereśniami, lub późnego lata na sezon winogron; o każdej porze roku ma dostatek wszelkich owoców, do najbardziej egzotycznych włącznie. W każdym szanującym się domu, w okresie zimowym, znajdują się na stole i poziomki i truskawki i brzoskwinie. I w tym wypadku Nowy - Jork pobił rekord. W ub. roku przypadło po 165,4 klgr. na osobę, co daje przeciętnie po pół kilo dziennie owoców na każdego mieszkańca. Na 1-ym miejscu w tej statystyce stoją winogrona — 33 klgr. rocznie na głowę, drugie miejsce zajmują brzoskwinie — 27,5 klgr., dalej jabłka, banany — 22 klgr. i t. d.

Zapotrzebowanie na mięso w ostatnich latach wybitnie się zmniejszyło. Gdy w roku 1924 przypadało po 68,1 klgr., w roku 1929 tylko 61 klgr. na osobę. Przyczyną tego są owe tak modne witaminy. Amerykanie „przerzucili się" na owoce i jarzyny. Nawet przy wyborze gatunku mięsa posługują się obecnie witaminową miarą: największem powodzeniem cieszy się wieprzowina (około 34 klgr. na osobę), dużo mniejszą cielęcina, jako uboższa w witaminy.

Na Nowy - Jork spływa corocznie cała Niagara mleka — 3.800.000 litrów! Trust mleczny wydaje też miljony dolarów na reklamę. Na każdym kroku rzucają się w oczy olbrzymie afisze, plakaty z wezwaniem „Pijcie mleko!". I Nowy - Jork chętnie idzie za tą radą. Półtora miljona krów z najbliższego sąsiedztwa i z odległości setek kilometrów od miasta, dostarcza codzień świeże zapasy doskonałego mleka. Nie znają tam mleka „chrzczonego". Kary za dolewanie wody przewidują prócz grzywny pieniężnej 2 - letnie więzienie za trucicielstwo.

ZYGMUNT KAWECKI.

TIRATOIO MELANCOLICO

(Szuflada melancholji.)
Pezzo per musica intelletuale.
(Utworek na muzykę w głowie.)





OP.13.

Andante senza pretensione.

Parole:

W toaletce waszej znajdzie się zapewne takie pudełeczko — w którem, jak w spiżarence, albo raczej rupieciarence, leżą przeróżne przedmioty codziennego użytku — ale już emerytowane, wycofane z życia — i wogóle ś. p.

W rupieciarence tej będą szpileczki, agrafki, resztki spinek, tasiemek, guziczków, jakieś dewizki, żiletka, wykałaczka z gęsiego pióra, jakieś perełki fałszywe, jakieś kawałeczki fajeczki, jakieś śrubki, jakieś odłamki, jakieś jakości nie do skreślenia, nie do ustalenia — nie do użycia — i nie do zastosowania.

Jeśli czegoś na gwałt potrzeba, leci się do tego pudełeczka, wyrzuca się wszystko na kupkę — pogrzebie się, nieznajdzie — zeklnie — i wrzuca się znowu ten cmentarz do pudełka — i odkłada się aż do następnego razu, do następnego pudełeczka, wyrzuca się wszystko na kupkę—

. . . .

...piu mosso

W biurku waszem znajdzie się zapewne albo szufladka, albo pudło — albo schowanko — któreby można nazwać, departamentem chaosu — albo kociołkiem bigosu — albo konwulsją wszechrzeczy — albo trzęsieniem ziemi w papierach.

. . . .

...quasi adagio

W tych to kakatumbach przeszłości — w których często jak w sklepiku lub w kramiku — znajdzie się niespodzianie coś cennego i coś dla nas nawet drogiego — leżą sobie spokojnie, jedno obok drugiego, przeważnie skrawki z naszego życia — okruchy z biesiad naszego dzieciństwa sielsko - anielskiego — iż naszej młodości górnej i chmurnej — wreszcie czerepy i skorupki z historyj i burz, które przynosi z sobą wiek męzki, wiek klęski.

Czasami, zajęci jakąś bieżącą, pilną robotą, niechcący, wsadzimy rękę w tę szufladę, w to schowanko — i przyjrzawszy się przypadkowo — któremuś z leżących na samym wierzchu śp. wrażeń lub ś. p. wspomnień — zaczynamy mimowoli przeżuwać przeszłość — oddalamy się od bieżącej chwili — i zajęcia — i włazimy po pas w moczar przeszłości — z którego ani rusz się wygramolić.

. . . .

...agitato irritativo

Ale są wśród tych paperasów, świstków i strzępków — takie które lubimy — i takie — które *djabli* wiedzą poco trzymamy wpośród innych miłych i porządnych świadków przeszłości.

Odgrażamy się sami sobie — że raz zrobimy z tem wszystkiem porządek — może kiedyś w niedzielę, jak będzie deszcz padał — może kiedyś, jak się przeziębimy — i będziemy parę dni w domeczku — może przy przeprowadzce — a może...

Tymczasem to uroczyste i personalne śmietnisko rośnie — życie ucieka — i jakoś ani się nie zanosi na to, żeby wydać na stos to, co wydanem być musi.

. . . .

...ad libitum

W mieszkaniu naszem znajdzie się zapewne jakiś kącik graciarniany, w którym nie mieszka ani pies, ani kot — i w którym prócz kurzu i zaduszonego powietrza — mieszczą się nieruchomione ruchomości lub doprowadzone do inwalidztwa rzeczy pożyteczne i szanowne. Mogą tam być jeszcze i flaszki po wypitych trunkach i lekarstwach — i utenzylja kuchenne już nieużyteczne. Kraina melancholji Koniec mebli doczesnych — vanitas vanitatum.

. . . .

...con anima

W duszy naszej, w nas samych znajdzie się *lamus* — do którego wynosimy nasze znajomości, przyjaźnie, stosunki — bywania i przesławiania —.

Tylko pomyśleć kogo — i czego w tej graciarni ludzkiej nie ma.

O! ten pan - kukła, leżący w kącie na podłodze — to był kiedyś nasz przyjaciel — nasz powiernik — nasz Bóg wie co. Dzisiaj, jak manekin trzcinowy, z którego zdjęto kostjum — leży twarzą do góry — i z boków jego wyłażą trociny kłamstw i blagi — którą nas na końcu nakarmił.

. . . .

...ironicamente ma con dolore

O! tam pod ścianą, oparta bokiem, stoi lalka tekturowa, ongi nasz ideał piękna, dobra — i miłości — z której zwisają dzisiaj łachmanki przykrości i skandalów, któremi uraczyła nas w chwili pożegnania, porzucenia, lub ucieczki.

O! tam złożone na kupkę leżą nasze sympatje z kawiarń, z knajp, z dancingów, z wycieczek, z tennisów, z pociągów, z imienin, z biur, z chwil uniesień, czy zapomnień.

Nikt z nich nie ma nam nic do zakomunikowania z przeszłości, prócz bezgranicznej niechęci i obojętności do wszystkiego, co nas z nim łączyło.



. . . .

...con intelligenza concentrata

Czasem tylko jakiś duszek, jakiś jakby krótki sen, maciupeńki obrazek, wycięty z filmowej taśmy przeszłości — załapie nam parę uderzeń serca — i parę mgiełek na oczach .

I ciągle sobie mówimy, że nie sposób jest nosić w sobie tego cmentarzyska cieniów — że z duszy, jak z domu trzeba *wymiatać i wyrzucać* wszystko, co ją zaprósza i zaśmieca — i rzeczywiście, od czasu do czasu, przeprowadzamy w sobie rewizję tych znajomości wzruszeń, towarzystw, zabaw, ludzi, pół - ludzi, ćwierć - ludzi — i czekamy na coś, co ma ten wyrzucony kram zastąpić w nas samych. Szykujemy się jakby do przyjścia jakiejś wizyty wielkiej — jakiejś chwili ponad wszystkie chwile.

. . . .

...perdendosi

Są jednak także jakieś cudne drobiazgi szarego dnia — niezauważalne serdeczne małostki — śpieszące się dokądś, niepozorne dobrotliwości — i ucieszki — wałęsające się po ulicach i zakamarkach codziennego życia — promyczki — przemykające się ponad nami i obok nas dźwięki i tony — niespodziane odpoczynki duszy — i zaskakujące nas wierzenia i zachcianki.

Wśród tego pyłu rzeczy drobnych i dobrych — jak wśród pyłu drogi mlecznej — można jeszcze znaleźć swoją ścieżkę — czy orbitę — czy linijkę i przeżyć sobie swój kręg życia — nie hałasując bardzo o szczęściu i ideałach — nie trąbiąc zanadto i zagłośno o prowidencji.

. . . .

CODA

...con eleganza metaphisica

Dalibóg, że nie wiem skąd mi się to wzięło, ale jestem przekonany, że zamiast kupować sobie okulary teorji lub suggiestji — by móc wyżyć od urodzenia do śmieci — to bardzo praktycznem jest — umieć posgrzebać sobie wśród małych, bardzo maciupeńkich zadowoleń życia — wśród niepozornych i ledwo dostrzegalnych wzruszonek — wśród wstydliwych naiwnych pomyśleń i zdaleka od malkontentów, nie znoszących cudzego zadowolenia.

Aby jednak i tym malkontentom było dobrze — trzeba im od czasu do czasu zrobić przyjemność i poskarżyć się, że nam jest obrzydliwie źle — że życie, to czyściec, to jama, to nora, że czas dzisiejszy, to

...finale di tutti finali...





Firma Szelechow, założona w roku 1896 przez braci Mikołaja i Michała Szelechowa, cieszy się zasłużonem powodzeniem wśród najszerszych sfer publiczności stołecznej, przyzwyczajonej zaopatrywać się w doskonale urządzonych sklepach (Senatorska 6 i Nowy Świat 39). Wzorowa czystość, nadzwyczaj grzeczna obsługa, oraz jakość towarów spożywczych zyskuje sobie coraz liczniejsze zastępy klijenteli.



Na Kongresie Rolniczym w Warszawie, który zgromadził 8-u przedstawicieli państw Małej Ententy i Nadbałtyckich, zapadł szereg doniosłych uchwał. (fot. Sitkowski.)

Co słychać na świecie

W całym długim szeregu miast Rzplitej, z Warszawą, Łodzią, Wilnem i Katowicami na czele, odbyły się w ub. niedzielę samorzutne manifestacje ludności przeciw niemieckiemu cynicznemu sięgania po ziemie odwiecznie polskie.

„W szaleństwie tem jest metoda" — możnaby powtórzyć za Szekspirem, mówiąc o zaciekłej propagandzie przeciwpolskiej Niemiec, o ostatnich wystąpieniach ludzi, zajmujących najwyższe stanowiska państwowe w Niemczech, jak minister Treviranus, a którzy nie wahają się twierdzić, iż obecne granice polsko - niemieckie są niesprawiedliwie wytknięte przez traktat wersalski, tem samem zaś są nie do zniesienia — dla Rzeszy.

Wszystko to jest świadomą nieprawdą, świadomym fałszem. Do ziem, jakie Rzplitej królewskiej zrabowały nam Prusy w czasie rozbiorów, nie mają Niemcy żadnych praw, ani historycznych, ani etnograficznych. Przyznanie ich nam, Rzplitej odrodzonej, było jedynie wymiarem sprawiedliwości, jak to stwierdził niedawno jeden z najwybitniejszych francuskich mężów stanu. Niemcy wiedzą o tem wybornie, a mimo to nie zaprzestają swej propagandy przeciwpolskiej, nie cofają rąk, chciwie wyciągniętych — po cudze.



General Dawes interesuje się nietylko sprawami politycznemi i finansowemi, ale również i archeologją. W towarzystwie amerykańskich pp. A. Greena i Mc. Curdy zwiedza obecnie uczonych zabytki we Francji.



Polityka polityką, a najpopularniejszym Franzuzem jest Maurice Chavalier, którego po powrocie z Ameryki policja z trudem wyrwała z rąk tłum sympatyków.

Nie zmieniło się w psychice narodu niemieckiego nic — w przeciągu tysiącolecia. Jak za czasów Albrechta Niedźwiedzia rwali na strzępy bratnią nam Słowiańszczyznę, lechicko-pomorską, pomiędzy Elbą a Odrą, jak wbijali się klinem dawnej marchji brandenburskiej w żywe jej ciało, tak potem mieczem i gwałtem wynarodowili starożytnych Prusów, by zrabować im i przywłaszczyć sobie nawet ich imię. Z połączenia tych dwu, z rabunku pochodzących, krajów niemieckich wyrosło wreszcie państwo, którego władca, zhańbiony fałszowaniem pieniędzy, uknuł spisek przeciwko Polsce i doprowadził do jej rozbiorów, by przedewszystkiem zagarnąć Pomorze — odciąć skazane na zagładę państwo — od morza. Wiedział wybornie Fryderyk Wielki, że posiadanie Gdańska daje mu cały doczesny eksport i import w ręce, że w ten sposób ujarzmi pod względem handlowo - politycznym Polskę, która się dla Prus tem, czem są kolonje dla Anglji: wielkim rynkiem wywozu towarów i zakupu tanich surowców.

Nie zmieniło się nic od owych czasów. I dziś — gdybyśmy na chwilę przypuścili, w ten czy inny sposób, traci-

my na rzecz Niemiec nasz dostęp do morza — i dziś nie moglibyśmy wywieźć ani wagonu węgla, nie moglibyśmy sprowadzić ani tonny bawełny, o ileby nam Niemcy na to pozwolić nie zechciały. Mielibyśmy już dowód niezbity, jak w r. 1920, gdyśmy jeszcze Gdyni nie posiadali, jak utrudniał nam gdański robotnik portowy dowóz amunicji z za morza.

Utrata więc Pomorza dla nas równałaby się utracie samodzielnego, naprawdę niezawisłego bytu państwowego. Dla Niemiec — byłoby to zupełnem opanowaniem Polski, choćby nawet ta zachowała pozorną, tytularną niejako niepodległość.

I dlatego dobrze się stało, że kraj cały mocnym jak spiż głosem odpowiada na owe niemieckie zakusy, w których jednakże jest metoda, a nawet jakże wiele metod!

„Nie cofniemy się przed żadnym koniecznym środkiem obrony nienaruszalności zagwarantowanych nam traktatem granic" — powiedziano w rezolucji, uchwalonej w d. 31 ub. m. na pl. Teatralnym w stolicy — „Nie pozwolimy pozbawić się choćby piędzi ziemi, wydartej ze stuletniej niewoli!".

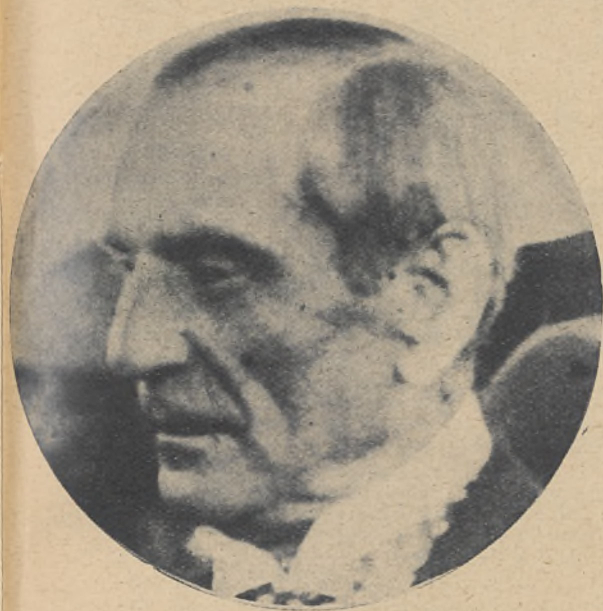
Wierzyć wolno, że myśli tak i tak czuje każdy do ostatniego obywatel Rzplitej. Ale trzeba, by dowiedział się o tem również — świat cały.

*

Niesłusznie zupełnie nie odbiła się szerszem echem w naszem społeczeństwie konferencja 8 państw rolniczych, zainicjowana przez Polskę i przeprowadzana w tygodniu ubiegłym w Warszawie. Była ona przecież obszernie komentowana przez prasę obu naszych sąsiadów, zprawa i zlewa, którzy bądź dopatrywali się w niej groźnego bloku, przeciw każdemu z nich właśnie skierowanego, podejrzewając przytem Polskę o jakąś nową, polityczną ściśle intrygę, — bądź też wróżyli jej rychły koniec przed czasem, informując „źródłowo" swych czytelników, iż każde z zaproszonych przez Polskę państw odmówiło wzięcia udziału w obradach.

Wbrew tym pesymistycznym zapowiedziom, „najżyczliwszego" z naszych sąsiadów, konferencja się przecież odbyła, a wbrew innym znów przypuszczeniom nie omawiano na niej zupełnie spraw politycznych, te bowiem wyeliminowane postały najzupełniej.

Olbrzymi kataklizm dziejowy, jakim była wojna europejska, nietylko pochłonął miljony istnień ludzkich, ale i zachwiał równowagę gospodarczą całego niemal świata. Cały zachód naszego kontynentu, który przed r. 1914 naogół importował



Zawrzało w Południowej Ameryce. Jednych mordują, drugich wynoszą na dostojeństwa, a wszystko z szalonym wylewem temperamentu. Na fotografji — b. prezydent Peru, Augusto Leguia.

płody rolne, wywożąc natomiast przetwory swego przemysłu, obecnie — w dobie powszechnego zubożenia — dąży do samowystarczalności w zakresie rolnictwa. Rywalizacja państw agrarnych, zwiększanie produkcji rolnej poszczególnych państw i sztuczne popieranie jej eksportu, pociągało za sobą dalszy spadek cen, a tem samem pogarszało stan rzeczy. Przewodnią też myślą inicjatorów było właśnie przeciwstawienie dotychczasowej rywalizacji — zbiorowego, zorganizowanego trudu.

Konferencję uważać można było za jeden z etapów pracy, jakiej myśl rzucono już w Genewie a podjęto następnie na zjeździe trzech państw w Rumunji, pracy, której celem ostatecznym jest uzgodnienie zwikłanych, niejednokrotnie sprzecznych z sobą interesów szeregu państw, a wreszcie przedsięwzięcie środków, któreby zapobiegły przeżywanemu w rolnictwie kryzysowi.

Inicjatywa nasza, szczęśliwie i w stosownym czasie rzucona, pomyślne przeprowadzenie obrad konferencji, osiągnięcie zgodnych, jednomyślnych uchwał i deklaracyj, nie dając nam — rzecz prosta ubiegaliśmy się zupełnie, — stawia nas niemniej, jako wnioskodawców, na czele zwartego bloku państw, których poglądy są zupełnie zgodne, jak się to wbrew przypuszczeniom naszych najżyczliwszych okazało w czasie konferencji. Pomijając tu wszystkie szczegóły, nie zapominajmy przecież, że blok państw bałtycko - bałkańskich przez nas zainicjowany, obejmuje ponad 90 miljonów ludności, a więc stanowi bardzo poważny organizm gospodarczy, z którym ufajmy, liczyć się trzeba będzie w przyszłości.



Kilka plakatów wyborczych, jakimi wylepione są mury wszystkich miast w Niemczech, gdzie kampanja dobiega końca.

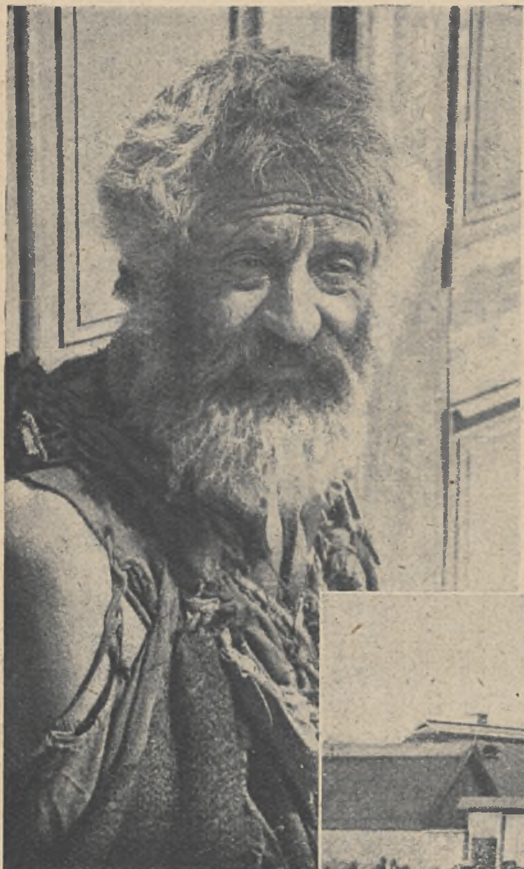


Król angielski mimo sędziwego wieku i długoletniej choroby, która ubiegłej zimy groziła jego życiu, wciąż bierze czynny udział w życiu publicznem kraju.

JOTMICZ.

Tam — gdzie prawie cytryna dojrzewa

(Korespondencja własna).



Pokutnik z Zaleszczyk.

Jesteśmy u schyłku lata. Ale nie wszyscy. Takie Zaleszczyki, naprzykład, położone w województwie tarnopolskiem nie znają o tej porze końca lata. Dla mieszkańców tutejszych lato, które się rozpoczyna już z początkiem maja, kończy się dopiero z początkiem października. I to lato, pełne ciągłego słońca: przebywający w Zaleszczykach w okresie letnim nie wie, co to dzień pochmurny: chwilowe zachmurzenie, przelotny deszcz, czy krótkotrwała burza, a pozatem słońce, dające *przeciętną* temperaturę dnia 30—35^0, a dochodzącą do 50^0 zgórą. Jaką atrakcję stanowi ta właściwość klimatyczna Zaleszczyk, dość będzie zważyć, że gdziekolwiek zamierzalibyśmy spędzić urlop letni w Polsce, zawsze poważnie ryzykujemy, że możemy trafić akurat na miesiąc pluchy, chłodu. Tymczasem wybierając się do Zaleszczyk, jedziemy z takim radosnym spokojem, jakbyśmy na cały czas urlopu... jaknajformalniej słońce zakontraktowali.

Czem jeszcze, poza słońcem, odznaczają się Zaleszczyki? Obfitością owoców południowych i wodą dniestrową, która, podobno, pod wpływem operacji słonecznej — słońca „całą gębą", nabiera jakichś szczególnych cech zdrowotnych.

Urządzenia — z roku na rok lepsze ,atrakcje — coraz liczniejsze, a wreszcie plażowanie i piękne wycieczki po Dniestrze.

Komisja uzdrowiskowa, ze starostą Krzyżanowskim i dyrektorem Narczyńskim, w granicach możliwości wychodzi wprost z siebie, aby uprzytomnić pobyt letnikom. Znamiennym tego wyrazem jest choćby fakt, że w roku bieżącym udało się komisji przyciągnąć do Zaleszczyk zespół Solskiej z „Domem kobiet", „Warszawską Operę Objazdową" z „Toscą", „Aidą" i „Pajacami" oraz Cyrk Barańskich. Zorganizowano w Zaleszczykach nawet częściowy zjazd Sokołów.

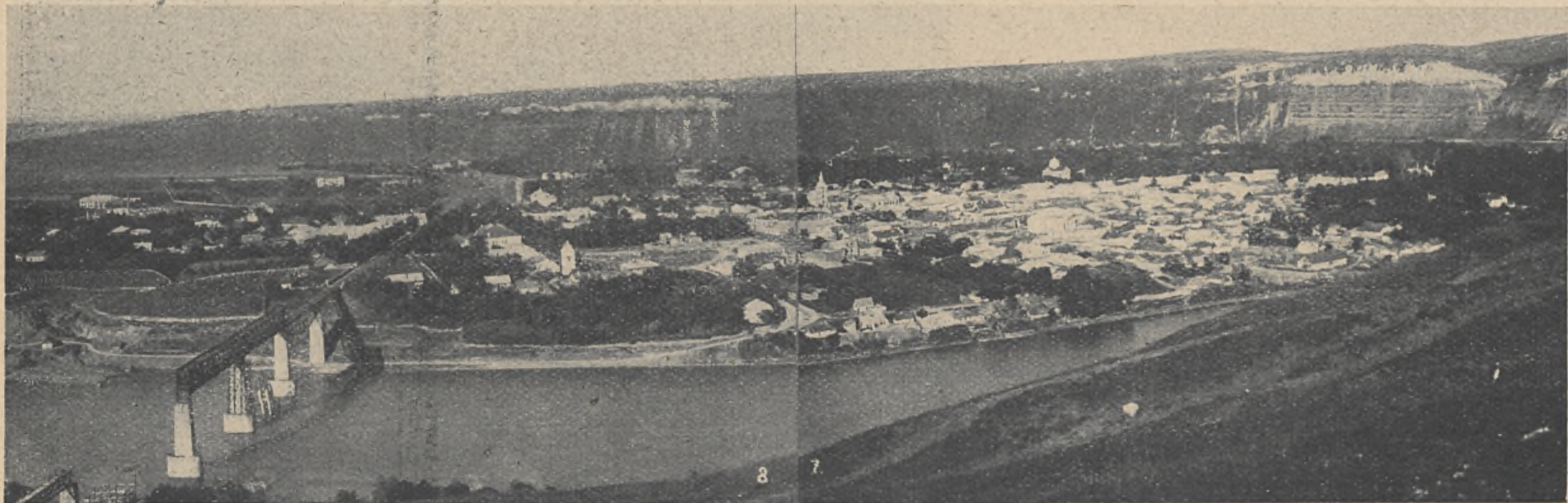
Dla miłującego wycieczki (a któż ich nie lubi?) okolica Zaleszczyk jest wprost rajem. Obok przepięknych zakątków pełno tam wartościowych zabytków historycznych. W samych Zaleszczykach trwa dotychczas ratusz, który był ongiś zameczkiem myśliwskim Stanisława Poniatowskiego, ojca króla Stanisława Augusta. Obok znajduje się kościół katolicki z 1784 roku. W sąsiednich Dobrowlanach stoi śliczna cerkiewka drewniana, do której przywiązana jest legenda, że została przyniesiona przez powódź z Buczacza; zabrana z powrotem przez mieszkańców tego miasta, przypłynęła znów do Dobrowlan z następną powodzią i już tam została, pozostawiona przez mieszkańców Buczacza, którzy dopatrywali się w tem woli Bożej. W Krzywczach, miłośnicy ruin znajdą szczątki zamku z początku 17-go wieku, założonego przez Kąckich, a będącego za Jana III siedzibą głośnego renegata Krzyczyńskiego, który na czele zbuntowanych Tatarów—Lipków puszczał swe zagony w głąb Rzeczypospolitej; w pobliżu znajdują się sławne groty, bogate w stalaktyty i stalagmity, których przejście wymaga półtorej godziny czasu. Wielką, choć dużo mniejszą, jaskinię, zwaną „Koszową Jamą", która służyła kiedyś jako schronienie przed napadem Tatarów, posiadają Lasieczniki; podobną jaskinię z efektownym labiryntem w postaci plątaniny chodników, można zwiedzić w Złotych Bilczach. Dalej już znajdują się sławne swą tradycją „Okopy św. Trójcy", położone obecnie w kącie granicznym z Rosją i Rumunją, a założone jako fortyfikacja przez hetmana Jabłonowskiego w 1692 roku, dla ciągłego szachowania utraconego wówczas Kamieńca; podupadłe następnie po odzyskaniu tej fortecy, wsławione zostały „Okopy" ponownie w roku 1769, przez waleczną obronę Pułaskiego, na czele kilkudziesięciu konfederatów. Zamiłowany wycieczkowicz znajdzie następnie w okolicach Zaleszczyk tak ciekawe zabytki, jak zwaliska budowli, zwanej „Basztą Wołodyjowskiego" — w Nowosiółce, złom skalny „Puhar Sobieskiego" w Bilczach, efektowną skałę w kształcie sfinksa, zwaną



Typ wieśniaczki z okolicy Zaleszczyk.



Zabawa na wsi.



Widok ogólny Zaleszczyk, oraz Dniestru omywającego je z trzech stron.

wskutek tego „Sfinksem Podolskim" — Holihradach.

Bodajże najprzyjemniejszą jednak jest wycieczka do Czerwonogrodu, położonego prawdziwie przepięknie w kotlinie rzeki Drużyny, która spada w tej miejscowości wodospadem 16 mtr. wysokości. Nad wioską tą króluje swem położeniem śliczny zamek, zupełnie dobrze zachowany, mający tradycję jednego z najstarszych grodów obronnych na Rusi, zbudowanego rękami jeńców tatarskich. Pozostający początkowo, przez wiek 15-ty i 16-ty, we władaniu starostów królewskich, przeszedł ten gród, pierwotnie drewniany, później murowany, kolejno przez ręce Buczackich, Jazłowieckich, Daniłowiczów i Ponińskich, aż do Marji Lubomirskiej, właścicielki obecnej.

Niepoślednią wreszcie atrakcją Zaleszczyk jest ich położenie tuż nad granicą rumuńską. Za przepustką Starostwa, wystarczy przebyć łodzią Dniestr, aby się znaleźć w Rumunji, która ma tanie owoce południowe i wina. Wprawdzie, nadbrzeżni kupcy rumuńscy, wyzyskując gromadne przyjazdy zaleszczyckich letników, czynią wszystko, co w ich mocy, aby podbić przeciętne ceny rumuńskie na te produkty, jednak choć im się to udaje w znacznej mierze, to jednak litr zupełnie smacznego wina nabywa się tam jeszcze za 2 zł. 50 gr., a takie np. winogrona, przy cenie 5—6 złotych w innych miejscowościach Polski, można było dostać za 1 zł. 40 gr. Obok tych materjalnych korzyści ma bliskość rumuńskiej granicy jeszcze i tę zaletę moralną, że, wybrawszy się na zwykłą wilegjaturę w kraju, można przy spotkaniu w Zaleszczykach znajomych, rzucić z udaną niedbałością frazesem: „Wyjeżdżamy jutro zagranicę"; poczem należy znajomych śpiesznie pożegnać, dla uniknięcia kłopotliwego pytania: „A kiedy Państwo wracają?", — nadgraniczne przepustki są bowiem w zasadzie tylko jednodniowe. Można też z wysokości rumuńskiego brzegu zarzucić znajomych w kraju kartami pocztowemi, zaopatrując je dla wzmocnienia wrażenia odpowiednio szumnemi frazesami, choćby na wzór pewnej pani, która na wszystkich tego rodzaju kartach pisała stereotypowo: „Serdeczne pozdrowienia — z dalekiej, obcej krainy".

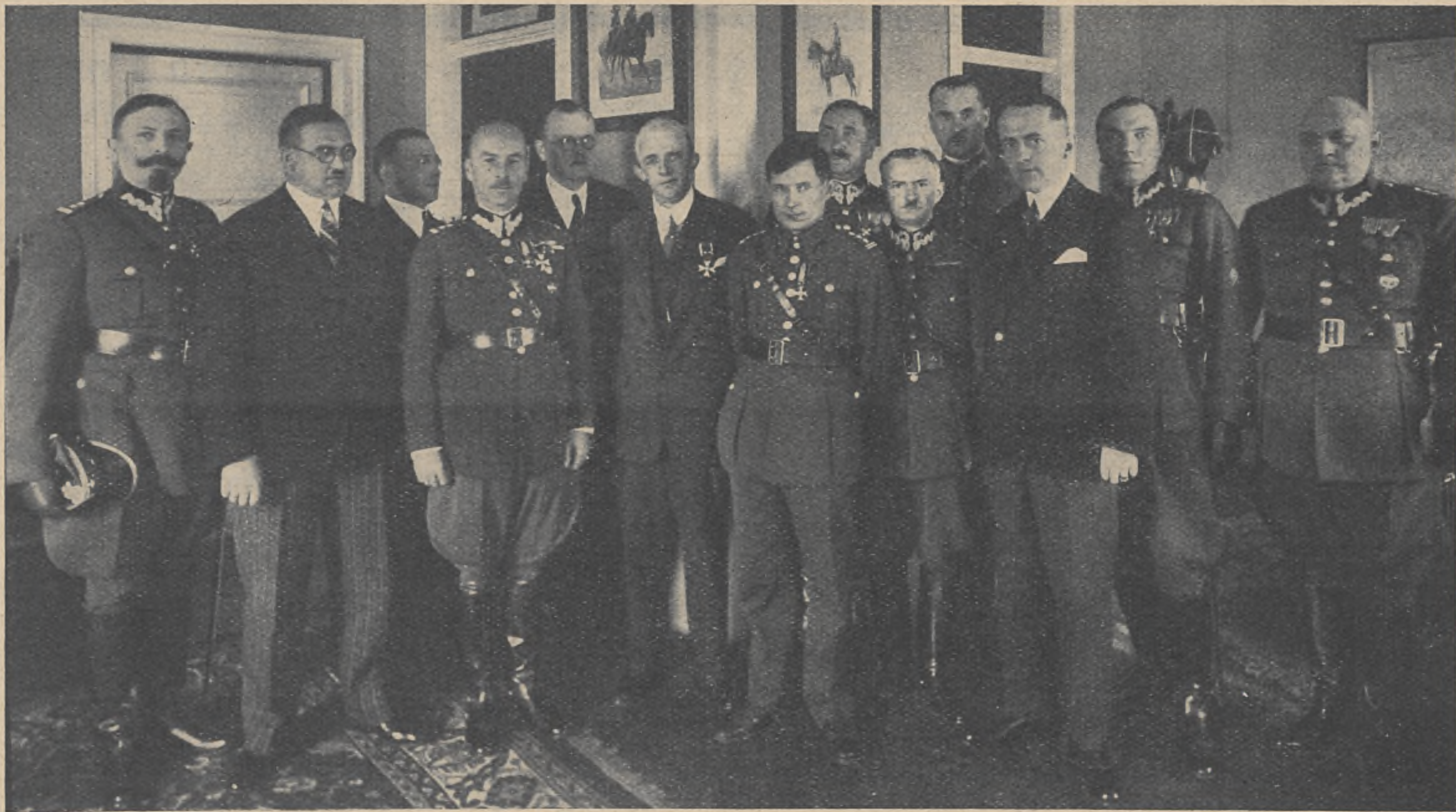
Jeślić ci zatem, miły Czytelniku, urlop wypadł na wrzesień — nie namyślaj się i jedź do Zaleszczyk!...

Wpływ słońca na cerę

Organizm nasz, a szczególnie gruczoły dokrewne, reaguje korzystnie na słabe bodźce, silne zaś i częste podniety osłabiają funkcje żywotne. Krótkie działanie słońca, nie przekraczające paru minut dziennie, działa korzystnie na gruczoły dokrewne twarzy, opalanie zaś wpływa niszcząco. Dlatego obserwujemy u wieśniaczek młodocianą skórę ciała, przy przedwcześnie przystarzałej cerze. Mylne jest zdanie laików, jakoby natłuszczenie twarzy stanowiło tarczę ochronną przeciw szkodliwemu działaniu słońca; często bywa wręcz przeciwnie. W lecie winno się obficie pudrować twarz pudrem egzotycznym D-ra Lustra i to kolorami: naturalnym, różowym lub kremowym, ponieważ roślinny puder o wzmiankowanych kolorach pochłania promienie chemiczne słońca. Ponieważ w lecie narasta gruby naskórek twarzy, w następstwie czego zatraca się młodociana soczystość, powinna każda kobieta, dbająca o swą urodę, myć twarz gorącą wodą, z dodaniem kosmetycznego boraksu D-ra Lustra, który wybitnie zmiękcza naskórek.

Dr. Z. B.

Okładkę projektował LEON CHEJFEC



W dniu 21 b. m., w Ministerstwie Spraw Wojskowych, odbyła się dekoracja p. O. M. E. Loupart'a, naczelnego dyrektora koncernu Philipsa w Eindhoven, Holandja, krzyżem oficerskim orderu Polonia-Restituta. Pan Prezydent nadał to wysokie odznaczenie dyrektorowi Loupart'owi za zasługi, położone przez niego w dziedzinie rozwoju przemysłu w Polsce. Inicjatywie dyr. Loupart'a zawdzięczają swe powstanie i ogromną rozbudowę Polskie Zakłady Philips S. A. w Polsce, dzięki jego inicjatywie wybudowano w r. b. wielką hutę szkła specjalnego dla produkcji katodowych lamp nadawczych i odbiorczych. Obecnie rozwój Polskich Zakładów Philips w Polsce idzie po linji całkowitego zaspokojenia zapotrzebowania rynku krajowego, łącznie z zapotrzebowaniem wojska, zarówno w dziedzinie światła, jak i w dziedzinie radja.

Na zdjęciu, obok p. Loupart'a widać jeszcze przedstawicieli władzy oraz dyrekcji Polskich Zakładów Philips, z p. Dyr. Walterscheidem oraz p. Dyr. Szradem na czele.

W raju dziecięcym

(Dokończenie ze str. 3-ciej)

ją ci malcy, których znamy z ulicy lub z tramwaju, kiedy wciskają nam kurjerka do ręki z łobuzerskiemi minami i odpowiedniemi powiedzonkami. Czują się tu jak w raju i usiłują zachowywać się jak aniołki. Żebyście mogli usłyszeć, jak chórem śpiewają, lub przypatrzeć się ich zabawom... Kochane chłopaki — w życiu codziennem już prawie obywatele, prowadzący „interes" i zarabiający na chleb, tu znowu stały się dziećmi. Beztroskiemi. Wesołemi. A gdy wrócą do miasta, wypoczęci i zdrowi, jakie cudeńka opowiadać będą kolegom, ilu zwerbują kandydatów na przyszły rok!...

*

O ile eksperyment osadzenia w kolonji zajezierskiej, tak napozór trudnego do prowadzenia elementu, jakim są dzieci ulicy — gazeciarze — dał doskonałe wyniki, o tyle znów nie udało się przeprowadzić doświadczenia w stosunku do innej, odrębnej grupy chłopców—moralnie zaniedbanych. Było ich dwudziestu kilku, lecz całej kolonji dali się we znaki. Hardzi, krnąbni, okrutni, wyzuci wszelkiego poczucia etyki — byli plagą instytucji, a gdy postanowiono odesłać ich z powrotem do zakładu poprawczego... wybili wszystkie szyby w barakach.

*

Z żalem wyjeżdżaliśmy z Zajezierza. Krótki dzień nie pozwolił nam zapoznać się szczegółowo z życiem kolonji i nawiązać kontaktu z dziatwą, z którą zdołaliśmy zamienić zaledwie kilka słów.

Szkoda — bo dzieciaki byłyby nam opowiedziały wiele ciekawych rzeczy, których żadne dane, zbierane oficjalną drogą nie mogą przynieść.

Szkoda — bo dobrze nam było w tym raju dziecięcym, miło i ciepło.

Powetujemy sobie to innym razem — na przyszły rok i radzi będziemy, jeśliby powstało podobnych kolonij jaknajwięcej.



Teatr Polski święci od ubiegłego piątku przekroczenie 50-tego przedstawienia sztuki p. t. „Przygody dzielnego wojaka Szwejka". Wyśmienita gra Jaracza daje nam pełną rękojmię na setny jubileusz premjery. (fot. Brzozowski.)

W krótce rozpoczynamy druk powieści Mac Orlan'a

p. t. „NOC MARJI CHANTAL"

Fascynująca, sensacyjna treść tej powieści trzyma w napięciu uwagę czytelnika od pierwszej do ostatniej karty

To, tamto i owo

KARIN MICHAELIS I WIĘZIEŃ.

Znakomita autorka duńska jest wielką optymistką. Wierzy w „człowieka", mimo jego przywar, błędów i złości.

Jak się okazuje, optymizm sławnej autorki ma jednakże swe uzasadnienie.

Niedawno temu otrzymała p. Michaelis list od człowieka, osądzonego na dwa lata ciężkiego więzienia.

„Odsiedziałem już rok — pisał nieznajomy—pragnę być ułaskawionym i proszę, by mi Pani pomogła".

Każdy na miejscu p. Michaelis zwątpiłaby poprostu w możliwość spełnienia podobnej próby.

Udała się do króla i w krótkim czasie więźnia wypuszczono na wolność.

Były więzień nie ma jednak środków do życia; zwraca się więc do autorki z prośbą o pożyczenie 1.000 koron. Ta, bez namysłu, posyła żądaną sumę. Po kilku tygodniach nieznajomy ponawia swą prośbę: potrzeba mu jeszcze 1.000 koron, pierwsze nie starczyły. „Jeśli zaufać, to już całkiem" — myśli Karin Michaelis i posyła pieniądze.

Były przestępca okazał się godnym zaufania znakomitej aktorki: nie popadł w dawne błędy, pieniędzy nie przetwonił, zajmuje się handlem i powodzi mu się coraz lepiej.

Coprawda, eksperyment p. Michaelis mógłby się zakończyć mniej szczęśliwie, lepiej jednakże wierzyć razem z autorką w „przyrodzoną dobroć człowieka".



Hanka Runowiecka świeci nieustanne tryumfy w ostatniej rewji „Ananasu“ p. t. „Pani się ubiera“. (fot. Radjotyp)

Rozrywki umysłowe

FRAGMENT KRZYŻÓWKI (sylabowy).
(Bez czarnych kwadratów w środku).

■	1	2	3	4
5				
■	6		■	

Znaczenie wyrazów pionowych.
1. Nastrój serjo (wspak)
2. Wykrzyknik staropolski
3. Część komórki
4. Naród wędrowny.

Znaczenie wyrazów poziomych
1. Inaczej mówiący
5. Inaczej awanturnik
6. Herb szlachecki polski

I. KRZYŻÓWKA.

P	L	U	S	Z	E
R	A	N	A	■	M
Z	■	I	R	K	A
E	L	K	I	■	L
T	U	A	■	E	J
O	■	T	A	M	A

II. BILETY WIZYTOWE.
1. Wydawca dziennika
2. Linoskoczka









Za rozwiązanie „krzyżówki zoologicznej“ oraz fragmentu krzyżówkowego z niniejszego numeru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 ZŁOTYCH

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 17 września.

KRZYŻÓWKA ZOOLOGICZNA

Udało się nam skonstruować niezwykle trudną do ułożenia „krzyżówkę zoologiczną“, zawierającą 3 słowa (2 pionowe i 1 poziome).

Prasa wywęszyła wszystko. Radjogramy związały w proteście cały świat cywilizowany. Zawrzało. Opinja publiczna wywarła gwałtowny nacisk na rządy, które skierowały notę protestacyjną przeciwko ewentualnej decyzji sądu, do Rady Trzech. Motywowano wspólnym interesem całej ludzkości (jawność i wzajemne zaufanie w stosunkach międzynarodowych i t. p.). Rada Trzech jednomyślnie, a więc i głosem Prezesa Polskiego Sądu Najwyższego podzieliła motywy noty Zjednoczonych Rządów, i pod jej wpływem zapadło postanowienie sądu, ustalające jawność obrad.

Dzień 7 maja 1962 roku.

Słońce.

Morze majowego słońca.

Bzy.

Warszawa 1962 roku była miastem bzów.

Radosny, chłopięcy zapach płynie szerokiemi ulicami miasta.

Potężny gmach Pałacu Sprawiedliwości, mimo swego ogromu, strzelisty i lekki, tonie w falach słońca i zapachu bzów.

Architekt Marceli Harmiński, budowniczy Pałacu, wniósł w jego kształty piękno wolnego, radosnego życia.

Budowa tego gmachu wiązała się organicznie z konstrukcją nowego kodeksu karnego, obowiązującego od lat dwóch. Nowe metody zwalczania przestępstwa, prawie całkowite wyeliminowanie kary, jako odruchu zemsty społecznej i zastąpienie jej przez środki ochronne, tryumf psychologji doświadczalnej i rozumnego humanitaryzmu — wszystko to sprawiało, iż siedziba sądu nie powinna była przygniatać swą betonową potęgą oskarżonego, ale przeciwnie — akcesorja wymiaru sprawiedliwości winny były napawać go wiarą, że jeszcze nie wszystko stracone, że sądzą go ludzie rozumiejący wszystko i odczuwający ból jego i nieszczęście nie mniej od krzywdy, wyrządzonej przez niego ofierze.

Kara śmierci (sankcja raczej teoretyczna, gdyż, jak wspomniałem — już od 20 lat niestosowana) utrzymana została w kodeksie jako zagrożenie najcięższych przestępstw, a w szczególności zdrady stanu.

Przeciwnicy Nowego Kodeksu podkreślali ustawicznie, iż kodeks ten wyprzedził przynajmniej o stulecie dojrzałość psychiki zbiorowej, akcentowali zacofanie w innych dziedzinach życia, wskazywali na nieustający stan antytezy w życiu społecznem: bogactwa i krańcowej nędzy, a w stosunkach międzynarodowych chaos, nawrót do metod tajnej dyplomacji — ciągłą groźbę nowej straszliwej wojny.

G. 10-ta rano.

Na lśniącym betonowym placu przed Pałacem lądują przepiękne helikoptery. Delegaci organizacyj międzynarodowych, mocarstw cudzoziemskich, prasa, radjoajencje, pisarze, publicyści, radjoautorzy, przedstawiciele rządu, parlamentu, społeczeństwa.

G. 11-ta.

Olbrzymia sala I wypełniona już jest po brzegi.

Słoneczna jasność, przenikająca przez szklaną kopułę, symbolizuje wielką moc Prawdy i Sprawiedliwości, które rozświetlą najbardziej ciemne i ponure zakamarki tajemnicy i zbrodni.

Powłoka liolitu, pokrywająca kopułę, eliminuje promienie ultraczerwone, przez co temperatura sali nie wznosi się ponad 16° Celsjusza.

Temu samemu celowi służą olbrzymie bez-

J. NEVER.

(Dokończenie, patrz N-ry 35 i 34).



szelestne wentylatory we wszystkich wnękach sali.

G. 11 m. 10.

Włączono aparaty teleradjowe. Obraz Sali, obraz procesu inżyniera Heliusa płynie po falach eteru.

G. 11 m. 20.

Na specjalnym tarasie „więziennym" ląduje helikopter, wiozący oskarżonego. Służba więzienno - sanitarna wnosi Heliusa, który nie może chodzić o własnych siłach, na salę sądową.

Dwóch lekarzy czuwa po obu stronach podsądnego.

Dzwonek.

„Sąd idzie!"

Wchodzą na salę.

Przewodniczący, dwóch sędziów i sześciu ławników.

Nowy kodeks usunął sądy przysięgłych, wprowadzając na miejsce tych ostatnich — ławników, reprezentujących sumienie i wiedzę nieprawnie. Całe kolegjum sędziów poddane zostało dwutygodniowej obserwacji lekarskiej. Jak zawodnik sportowy przed walką, czy rekordem, tak, decydujący o losach ludzkich sędzia, był poddawany specjalnemu treningowi w myśl zasad hygieny umysłowej. Eliminowano wszelkie przypadkowe wpływy fizjologiczne i psychologiczne, wszystkie momenty niedyspozycyj organicznych: sędzia winien był osiągnąć w momencie sądzenia 100 proc. swej sprawności psychicznej.

G. 11-ta m. 30.

Sąd przystępuje do rozpraw.

Odczytano akt oskarżenia.

Pytanie — „Czy oskarżony przyznaje się do winy?"

Helius milczy. Skinął tylko potakująco głową.

Obrońca prosi o krótką przerwę dla porozumienia się z oskarżonym.

Po przerwie obrońca oświadcza, że Helius przyznaje się do winy wykradzenia dokumentów, jest jednak zbyt słaby, by udzielić teraz jakichkolwiek wyjaśnień. Zabierze głos w ostatniem słowie.

Materjał dowodowy — niezmiernie szczupły. Niema zastosowania dla nowych metod badawczych. Aparaty, kontrolujące stopień spostrzegawczości, roztargnienia, wrażliwości i stanu wzruszenia świadka — pozostają bezczynne.

Blade, choć patetyczne przemówienie prokuratora i obrony.

G. 4-ta p. p.

Przerwa dwugodzinna.

G. 6-ta p. p.

Wnoszą inżyniera Heliusa.

Teraz głos ma oskarżony.

Teraz świat słucha.

Teraz się wreszcie wyświetli wszystko.

Inżynier Helius spoczywa bezwładnie w głębokim fotelu.

Przez cały czas procesu nie widział nic, ani słyszał.

Przez cały czas procesu patrzył szeroko rozwartemi oczyma w szklaną kopułę sklepienia. Był trupio blady, ale oczy żyły i płonęły.

Czy myślał?

O czem myślał ?

Czy odbywał „sąd nad własną duszą?"

W pierwszym rzędzie foteli siedzi matka i siostra oskarżonego.

Z wiarą i miłością patrzą w jego twarz, ale dotąd Helius nie oderwał oczu od nieba.

— Czy oskarżony złoży wyjaśnienia? — pyta przewodniczący.

Chwila najgłębszej uwagi, najpotężniejszego skupienia.

Czeka Sąd.

Czeka świat.

Czeka matka.

Inżynier Helius odrywa oczy od szklanej kopuły.

Inżynier Helius spogląda na salę.

Radosne pozdrowienie płynie ku matce z tych wielkich oczu, płonących gwiaździście na szarej, martwej twarzy.

Poczem uśmiech ginie.

Obraca twarz ku sędziom.

Inżynier Helius podnosi się.

Inżynier Helius wstaje.

Nadludzki wysiłek woli utrzymuje oskarżonego na nogach...

— Mówi...

„— Panowie sędziowie...

Mówię teraz, gdyż za godzinę będzie już zapóźno...

Nie mówiłem dotąd, bo w duszy mojej odbywał się Sąd...

Nie wasz, panowie sądziowie...

Do teraz... do chwili obecnej... nie wiedziałem, jaki jest wyrok...

Teraz wiem...

Odpowiedź płynęła ztąd..."

Inżynier Helius wskazuje palcem na szklaną kopułę. Słońce zachodzi purpurą i krwią. Refleks złoci martwą twarz oskarżonego.

— „Ztąd... z Kosmosu..."

Głos oskarżonego załamuje się.

Świat czeka.

Świat drży.

Świat chce zrozumieć i pojąć?

Na ławie biegłych - psychjatrów porozumiewawcze spojrzenia.

— „Z Kosmosu..." — powtarza Helius...

— „Wiem, że postąpiłem dobrze...

Wykradłem dokumenty plany...

Spaliłem je..."

— Spalone... drży świat...

— Bezpowrotnie... — huczą anteny...

„— Spaliłem je — ciągnie po przerwie oskarżony — bo kochałem je ponad życie...

Bo ów wynalazek genjusza ludzkiego był marzeniem najdroższem duszy mojej...

Dnia 7-go kwietnia spaliłem moją duszę..."

...Śpiewają anteny o duszy spalonej inżyniera Heliusa...

Milczenie.

Helius mówi dalej:

— „Spaliłem je, bo... czas tego odkrycia nie nadszedł...

Nie wybiła godzina ziszczenia...

Ludzkość nie dorosła jeszcze...

Jeszcze krzywda żyje i wrogość między ludźmi, i waśń żyje między narodami...

Energję, tę całą energję wszechświata zużyją na zabijanie się wzajemne.

Zaprzęgną potworne maszyny do dzieła zguby, zmiażdżą, spalą miasta i osiedla... śmierć widzę wszędzie... śmierć...

Pojąłem to podczas pertraktacyj z ministrem wojny...

Dziś ten wynalazek — przekleństwem, nie radością ludzkości... dziś ten wynalazek — to zguba i zniszczenie... Dlatego... dlatego... — spaliłem moją duszę...

...Nie wybiła jeszcze godzina...
gadają fale eteru...
...Nie wybiła jeszcze godzina...
powtarza świat...
...Nie wybiła jeszcze godzina...
szepcą blade wargi oskarżonego...





Colette Darfeuil kreuje główną rolę kobiecą w wielkim filmie Gance'a p. t. „Koniec świata". (fot. „Heros")

— zachodzi słońce... zachodzi"...

Czerwień, czerwień na sali — złoto i czerwień na włosach Heliusa...

Cisza trwa.

Helius opadł na fotel.

Milczenie.

Całym wysiłkiem woli otrząsa się przewodniczący z magji słów Heliusa.

— Panowie biegli — zwraca się do psychiatrów — jakie jest zdanie panów co do poczytalności oskarżonego?

Krótka narada.

— „Obłąkany" — i pada łacińska nazwa.

Ale nikt nie słucha biegłych.

Wszystkie oczy wpatrzone w Heliusa.

Czerwień i złoto na jego włosach. Twarz oparta na dłoniach. bez ruchu.

Fala włosów na czole.

Bez ruchu.

Szmer przebiega salę: Nie żyje...

Zrywają się wszyscy.

Matka i siostra ze szlochem dopadają nóg jego.

Zachodzi słońce.

I nagle krzyk.

Krzyk kobiety.

„Matko, matko — on nie obłąkany, Matko, Matko — on święty...

A fale eteru niosą skłębione i drżące ten krzyk.

Krzyk niosą ludzkości...

Krzyk rozdartego serca siostrzanego:...

...On święty"...



Gigantyczny wysiłek reżysera

12 LAT PRACY NAD STWORZENIEM „KOŃCA ŚWIATA"

W końcu roku 1928 pisma francuskie podały krótką notatkę informacyjną, donoszącą, że jeden z największych reżyserów europejskich, Abel Gance, rozpoczął zdjęcia do nowego filmu p. t. „Koniec świata".

W połowie roku 1930 te same pisma francuskie doniosły również, w formie kilkuwierszowej notatki, że Abel Gance ukończył całkowicie film p. t. „Koniec świata". I nic więcej. Nikt nie wiedział o nadludzkiej, tytanicznej pracy, jaką pochłonął ten film.

Jedynie ścisłe grono przyjaciół, kolegów i współpracowników wielkiego reżysera uczciło zakończenie filmu uroczystym bankietem, po którym, jak po konwentyklu politycznym, rozpoczęła się długa serja wywiadów i artykułów. Wywiadów udzielali wszyscy. Milczał tylko Abel Gance. Raz jeden przemówił na bankiecie i tem przemówieniem uniemożliwił zadawanie setek szablonowych pytań. Powiedział:

— Przez dziesięć lat pracowałem nad scenarjuszem „Końca świata". Dziesięć lat wysiłku umysłowego, doprowadziło mnie do konkluzji, że temat ten jest niemożliwy do zrealizowania przy pomocy wówczas, w roku 1928, rozporządzalnych środków technicznych. Aż nagle z Ameryki doszły wiadomości o przemówieniu wielkiego niemowy. Depesza o tym wynalazku pobudziła mnie do intensywnej pracy. Film, którego realizacja w wersji niemej była niemożliwością, i ze względu na brak bezpośredniości mowy wykoszlawiała moją ideę, stał się nagle rzeczywistością wykonalną. 16 tomów notatek o „Końcu świata", 16 tomów, obejmujących zgórą 1500 stronic, zaczęło do mnie przemawiać żywym i zrozumiałym językiem. Kilka miesięcy gorączkowej pracy nad konstrukcją scenarjusza po długich 10 latach przemyśliwań było dla mnie tylko krótką chwilą.

— Prawda, Dobro i Piękno, religja, polityka i nauka, człowiek dobry i zły, tworzenie i niszczenie, ewolucja i kataklizm — wszystko to poczęło żyć. Narodziło się, a potem przemówiło. I przemawiać będzie, mam nadzieję, nietylko do umysłów, ale i do tego, co było mojem zamierzeniem i marzeniem przez długie lata, do serc ludzkich.

Tyle Abel. Gance. Żeby się jednak przekonać o słuszności słów wielkiego twórcy, należy uprzytomnić sobie potęgę żywiołowej katastrofy, która w wersji niemej byłaby tylko lepiej lub gorzej technicznie wykonanym obrazkiem, a w wersji dźwiękowej budzi poczucie „małości" człowieka, bojaźń wobec Boga i potęgi natury. Oddziaływanie najpotężniejszych dźwięków natury jest silniejsze, niż „operatora szkiełko i oko".



Scena z filmu Gance'a p. t. „Koniec świata". (fot. „Heros")



LIDO WENECKIE

LIPIEC.

Gorąco, gorąco...

Uciekają dręczone spiekotą rzesze w góry lub nad morze.

A kogo los osadził już był we Włoszech, ten, niby pies zziajany, przysiada na pierwszym zaraz przystanku morskim, po drodze: w Wenecji, to jest na Lido.

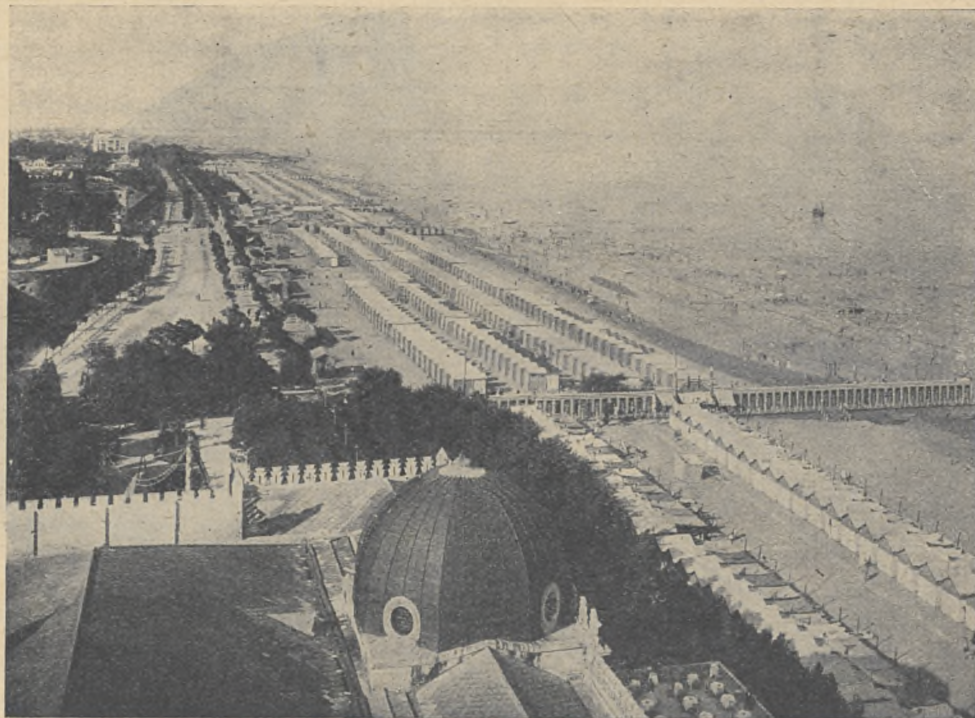
Zbyteczne opisywać Wenecję. Wszyscy ją znamy. A temu, który jej nie zna, krótki opis nie wystarczy. Trzebaby przepisywać wyciągi z dzieł najznakomitszych autorów całego świata, z Szekspirem na czele, by sławić godnie „Królowę Adrji". Ale w odległości niespełna 20 minut vaporettem (małym parowcem) leży inna wyspa, już na pełnem morzu, nie mająca, oczywiście, ani tak wiekopomnej historji, ani tak nieśmiertelnej sztuki, ale zato zaopatrzona we wszystkie udogodnienia współczesne. Wyspą tą jest *Lido* weneckie.

Są trzy linje morskie, któremi można dostać się na Lido. Po pierwsze, zwykłe „vaporetta", idące od dworca, zatrzymujące się na wszystkich przystankach; po drugie, statki bezpośrednie, dwupiętrowe — od Riva degli Schiavoni do centrum Lido, na via Santa Elisabetha, i, po trzecie, statki, również bezpośrednie, od pomnika Viktora Emanuela na Riva degli Schiavoni do Quatro Fontane na Lido.

Zaledwie przebędziemy piękną i szeroką via Santa Maria Elisabetta, która, wpoprzek Lido, łączy lagunę wenecką z pełnem morzem, jesteśmy w obliczu *Stabilimento dei bagni*, a z obu stron jego widnieją nieprzerwanym ciągiem, w kilku szeregach, budki kąpielowe, *capanny*. W nich krocie syren dwunogich, śpiewających we wszystkich językach świata, zażywają sportów morskich, polegających najczęściej na pluskaniu się w morzu i tworzeniu barwnych kręgów na piasku, a w kręgach tych ramiona, nóżki i reszta splata się w kształt napisu *Lido*.

Syreny owe, najczęściej anglo-saskiego lub zgoła germańskiego pochodzenia, poza tem oddają się wiosłowaniu, footing'owi, flirtom oraz z bohaterstwem, godnem lepszej sprawy, dancingują przy straszliwych upałach tegorocznych (47° powietrza, 30° wody i 68° piasku, wszystko według Celsjusza).

Piasek aż parzy. Przy wejściu do wody nie odczuwa się zwykłego wstrząsu, tak charakterystycznego dla naszego Bałtyku. Fala jest ciepła, ogrzana pieszczotą, ale nie orzeźwia.



Na plaży w Lido. W dali Excelsior-Palace.



Piękne fajerwerki podczas zabawy na wodzie.



Dancing pod gołem niebem.

Lido jest małem miasteczkiem, którego architektura uporczywie naśladuje Pałac Dożów w Wenecji.

Racją jego istnienia jest morze. Przy morzu skupia się życie sezonowe, to jest, jedyne życie tutaj.

Tu są najpiękniejsze hotele (Palace Hotel Excelsior, zbytkowny, posiadający własną plażę, własny kanał, którym można dojechać do Wenecji w motorówce hotelowej, posiadający ogrody i wszelkie udogodnienia i luksus współczesny, oraz różne inne, również nowoczesne i zaopatrzone we wszelkie wymagania komfortu.

Pewną niedogodnością jest to, że cała plaża podzielona jest na rewiry, z których każdy należy wyłącznie do jakiegoś hotelu lub do grupy hoteli. Kabiny kąpielowe są obszerne, z werandami, a po za werandą mają jeszcze porozpinane na palikach zasłony z płótna żaglowego, które, w tym roku osobliwie, nieocenione są jako osłona przed słońcem.

Stabilimento dei Bagni, rodzaj kasyna na wodzie, ma kawiarnię z muzyką i szereg sklepów, w których pysznią się efektowne wyroby weneckie (koronki, kryształy, paciorki i t. d.), oczywiście dwa razy droższe, niż w samej Wenecji, która, z kolei, jest dwa razy droższa od pobliskiego Mestra, miasteczka, położonego przy wjeździe na dygę wenecką. To Mestre polecam wszystkim, których sakiewki nie koniecznie pożądają dokładnego wypatroszenia przez modne miejscowości. Jest to miasteczko czyste, skromne, niedrogie i zaćmione, niby kopciuszek, przez świetną siostrzycę, Wenecję.

Wenecja jest droga. A Lido jest jeszcze droższe! Trudno, trzeba to powiedzieć. Amicus Plato, sed magis amica veritas.

Ale kto nie bardzo liczy się z groszem, ten nie znajdzie milszej od Lido miejscowości.

Największy i najelegantszy Excelsior Palace Hotel, daje pokoje z kompletnem utrzymaniem od 100 lirów dziennie. Grand Hotel des Bains — od 75 lirów, Hotel Villa Regina — od 50, Grand Hotel Lido — od 45, Pensione della Spiaggia od 40. Jest, oczywiście, mnóstwo innych, tańszych, ale nie sposób wszystkich wyliczać.

Rozrywek jest duży wybór, jeżeli nawet nie chce się korzystać z najbardziej uroczej: a tą jest bliskie sąsiedztwo Wenecji. Są podwieczorki i dancingi w Stabilimento dei Bagni i na tarasach hotelu Excelsior. Są wszelkie sporty wodne i lądowe, i golf (jakżeby mogło obejść się bez golfu tam, gdzie są Anglicy!). Urzędowy program zabaw na miesiąc sierpień zawierał:

II etap okrężnego lotu aeronautycznego po Włoszech. Od 1—10 sierpnia: charakterystyczne zabawy nocne na plaży hotelu Excelsior Lido; tradycyjne *noce weneckie* na Canal Grande; noce piekielne w ogrodach Chez vous; wielką zabawę dobroczynną „A great Day", pod patronatem jakiejś księżnej. Zabawy alegoryczne w stylu wieku siedemnastego. Pokazy ostatnich mód paryskich! Wszystko albo w ogrodach hotelu Excelsior, albo w Grand Hotel des Bains. Wszystko połączone z regatami, łodziami ukwieconemi, ogniami sztucznemi i t. d. A dalszy ciąg niezmiernie urozmaicony, a na wrzesień szykują się nowe, różnorodne cuda w tym rodzaju!...

O tem, że w Wenecji odbywa się teraz międzynarodowa wystawa sztuki, La Biennale, wspominam dla wiadomości miłośników malarstwa. Są pawilony Stanów Zjedn. Ameryki Półn., Hiszpanji, Czech, Węgier, nawet Sowietów — a niedawno otworzono również pawilon polski.

Trzeba zaznaczyć jeszcze, że, w przeciwieństwie do innych luksusowych miejsc kąpielowych, Lido nie posiada rulety, która stanowi przynętę i plagę Monte Carlo, Ostendy, a choćby bliskich nam Zopotów. Takiego rodzaju bogacenia się nie toleruje rząd faszystowski!

Moralność surowa panuje przeto pod wszystkimi względami, jeżeli, oczywiście, nie brać pod uwagę owych plażujących syren, które ze wszystkich stron i we wszystkich językach świata przywabiają hołdy. Ale piękno to piękno i, już od czasów Fryne, cieszy się ono zawsze i wszędzie osobliwemi przywilejami!

Marion.

JAK PAN SYPIA?

SENSACYJNA ANKIETA. NERWY PODCZAS SNU. SPOKOJNY SEN.

Dr. Donald A. Laird, Dyrektor „Colgate-Laboratorium", Instytutu psychologji eksperymentalnej, obudził niespodzianie wczesnym rankiem 400-tu businessman'ów, zamieszkujących wielki nowożytny hotel w New Yorku, zadając im szereg pytań, dotyczących ich snu lub bezsenności.

Wynik tej ankiety jest godny uwagi. Z tych, którzy narzekali na kiepski sen, co piąty nie spał dlatego, że „myślał". Z tej zaś liczby połowa, t. j. co 10-ty, spała źle z powodu hałasu w nocy. Hotel, o którym mowa, znajduje się w dzielnicy dość hałaśliwej. Do zakłócania spokoju w nocy przyczyniały się głównie samochody, aczkolwiek nie używają one ani we dnie, ani w nocy sygnałów dźwiękowych. Poza automobilami przyczyniał się jeszcze, acz w słabszym stopniu, do szerzenia hałasu ruch nocnych tramwajów, gwizdki i sygnały policji, a wreszcie straż ogniowa.

Ilość ludzi nerwowych w Stanach Zjednoczonych jest niemała. Tylko 240 osób oświadczyło, iż obudziły się w dobrym nastroju. Również tylko 240 zasnęło bez trudu, i też 240 nie mogło spać dłużej z jakiegoś powodu. Wszystkie te fakty są w swoim rodzaju zastanawiające. Również fakt, iż tylko siedem osób na każde dziesięć dało się zbudzić bez trudu, świadczy o napięciu nerwów. Połowa tych ludzi spałaby chętnie dłużej, nie wolno im jednak było było spać dłużej, lub nie mogli. Ludzie interesu!

Dr. Laird zwrócił również uwagę na senne marzenia i sny. Dowiadujemy się z jego badań, że zaledwie ½% miała sny nieprzyjemne. Widocznie, mimo wszystkich trosk obecnej doby, optymizm Amerykanów jest niewzruszony. Również i realizm, bowiem 300 osób nie mogło sobie uświadomić, czy wogóle śniły.

Dr. Laird sądzi, iż wynalazł środek, który może usunąć wszystkie zakłócające sen przeszkody. Utrzymuje on, iż wśród osób, które obserwował, 82 spożywały sporo cukru i te właśnie osoby zaliczały się do kategorji śpiących snem równym i spokojnym. Ludzie ci budzili się rano wypoczęci, odświeżeni, w dobrym humorze.

Interesującą byłaby tego rodzaju ankieta, dotycząca 100 polskich businessmanów, ulokowanych w hotelu, w którym numer kosztuje 35 złotych na dobę.

Co się tyczy roli cukru, jako nieszkodliwego środka nasennego, stwierdzić należy, iż właśnie w Stanach Zjednoczonych cukier jest bardzo rozpowszechniony, jako środek terapeutyczny.



Popularna trójka artystów: Marja Malicka, Jerzy Brodzisz i Eugenjusz Bodo podczas przerwy w filmowaniu obrazu p. t. „Wiatr od morza" skracają sobie czas czytaniem „7 Dni".





JACK DEMPSEY.

RING WZYWA

Wielki Sharkey-Schmeling nasuwa mi wspomnienia innych walk. Przychodzą na myśl dni, kiedy byłem ośrodkiem międzynarodowego sportu bokserskiego. Miło przypominać sobie tamte czasy i sprawy, kiedy wystąpieniem mojem potrafiłem niejedno zdziałać na rzecz ring'u. Odczuwam w tem pewnego rodzaju satysfakcję i zarazem się zastanawiam, jakbym się też zachował, gdyby mi tak przyszło znów kiedy stanąć do zapasów.

Szczególniej chętnie wspominam spotkanie z Jerzym Carpentier w Jersey City, w czasie niesłychanych upałów. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że francuza „położę". Położyłem go też. Niezaprzeczenie uderzenia jego były celne, nie tak jednak twarde, jak głosiły ówczesne sprawozdania. Tak, przyznaję, Carpentier trafił dobrze, sądził też, że może znaleźć nową sposobność zwycięstwa i wykluczyć mię tem samem z walki o mistrzostwo. Byłem w doskonałej formie, zdawałem sobie dokładnie sprawę z sytuacji. Ani na chwilę nie wątpiłem w siebie — i zwyciężyłem.

Mogę dziś z całą otwartością pomówić o szczegółach tej walki, tembardziej, iż czasy to dość odległe. Wiadomo przecież, jak entuzjastycznie witano Carpentier'a. Przyszłe spotkanie nasze ochrzczono mianem „walki bokserskiej 20-go stulecia".

Tysiące zwolenników sportu bokserskiego, ludzie, którzy mię nigdy na oczy nie widzieli (ani ja ich), odczuli nagle, że mię czegoś „nie lubią". Odczułem to już podczas trainingu, sprawiło mi to przykrość: byłem o wiele młodszym, bardzo wrażliwym — ale stanowczym.

Powiedziałem sobie: „Zmuszę ich, by mię polubili. Co do mnie mają? Z jakiego powodu życzą mi porażki? Zwyciężę — i to *fair* zwyciężę—a wówczas będę miał wszystkich po mojej stronie. Muszę sobie zjednać niechętnych, champion nie może być odosobnionym, jakimś tam eremitą".

Zaraz po ukazaniu się na ringu spotkała mię niespodzianka. Miałem mocną rękę, tak silną, jak Francuz, a może lepszą. Powiedziałem: „Po wszystkiem będę miał przyjaciół, to pewne. Wygram".

Tex Richard obawiał się, bym nie położył Carpentier'a od jednego uderzenia, umniejszając tym sposobem znaczenie „tej walki stulecia". Krótko przed wyjściem mojem na arenę zwrócił się do mnie: „Nie kładź odrazu Cerpentier'a, jeśli chcesz zastosować c. o., to już twoja rzecz, ale niech i publiczność wyjdzie na swojem".

Przyrzekłem, ale po chwili, gdym wkroczył na ring, odrazu pożałowałem danego przyrzeczenia: wołania i krzyki zewsząd usposobiły mię tak, iż z trudem przyszło mi przeciągnąć walkę choćby o jedną niepotrzebną sekundę. Carpentier sprawił w gruncie niespodziankę: był silniejszy, jakby się wydawało — ważył zaledwie 170 f., to też wierzyłem, że położę go od jednego ciosu. Spotkanie to i moje zwycięstwo nad Carpentierem były punktem zwrotnym w mojej karjerze, to też chętnie wspominam tę walkę, niezliczone tłumy rozentuzjazmowanej publiczności, ogłuszające okrzyki, któremi mię chciała uczcić. Jeszcze przed spotkaniem z Carpentierem wiedziałem, że „położę" Willarda, co się też stało, ale stokroć większe zadowolenie pozostawiła mi walka w Jersey City, gdym zdobył sympatję i uznanie widowni.

Opuszczając ring w Boyles Thirty Acres, pomyślałem sobie: „Jacku, teraz ich wszystkich zwyciężysz. Chłopaki są po twojej stronie".

Brzmi to, być może, trochę niemądrze, jestem jednak głęboko przekonany, iż nikt nie potrafi być championem w swej ojczyźnie bez moralnego poparcia rodaków.

Podczas walki przeżywa champion często chwile trwogi i szalonego natężenia nerwów. W związku z tem przychodzą mi na myśl pewne momenty ze spotkania z Willardem. Gdy wstąpił na ring, widać było, jak bardzo naprężone są jego nerwy i muskuły. Zrozumiałem w tej samej chwili, iż zwyciężę.

Ciosy szły w ciało, nie czułem „odbicia"; Willard nie był odporny, być może, iż niesłychany upał ostatnich tygodni ujemnie wpłynął na jego apetyt, również i w dniu naszego spotkania gorąco było niemożliwie.

Najgorzej dzieje się w ostatnim tygodniu przed spotkaniem, ma się wówczas chwile wielkiego natężenia. W tym właśnie tygodniu i ja czułem się wciąż nieszczególnie.

Wydawać się może dziwnem, ale to fakt: nigdy nie zastanawiałem się nad wynikiem walki. Nie myślę się tem chwalić — nie jest mi to też potrzebne — nigdy nie traciłem wiary w siebie. Nawet podczas pierwszego spotkania z Tunneyem w Atlantic City nie wątpiłem w siebie, choć czułem się zatrwożony, słaby — i w końcu zwyciężony.

Nie wątpiłem w siebie nigdy, gdyż musiałem wierzyć w swe siły i znałem swą wartość zapaśnika, to też podczas owej dżdżystej nocy, gdy się walka rozstrzygnęła, liczyłem wciąż, iż wygram przy pomocy c. o., nim przebrzmi ostatnie uderzenie gonga. Stało się inaczej. Do mojej przegranej przyczynił się w dużym stopniu niepokój ostatnich tygodni — jest to jakaś tajemnicza siła, która w różny sposób wpływa na bokserów: jednych osłabia, innych znów czyni odpornymi i wytrzymalszymi.

Nastrój ten opanował mię przed pierwszem spotkaniem z Tunney'em i zdołał mię w pewnym stopniu osłabić.

Wspomnienia minionych przeżyć budzą we mnie tęsknotę za ringiem. Nieraz odczuwam zadowolenie, iż nie czekają mię wszystkie te ciężkie zadania: długotrwały training, wyczerpująca praca, decydujące momenty walki. Często jednak brak mi tych wrażeń i czuję wówczas, że jednak powrócę na ring.

Zjawiają się potem, skutkiem moich nawrotów od czasu do czasu wzmianki w pismach w tym rodzaju: „Dempsey znów podjął pracę, wkrótce powróci na arenę" i t. p.

Teraz pracuję znów — nie mogę inaczej. Zdaje mi się, że mógłbym dziś zwyciężyć kilku championów, uprawiających obecnie pilnie training. Kilku, a może wszystkich po kolei. Nie potrafiłbym jednak przeprowadzić na ringu przedłużającej się walki.

Spotkanie Charkey—Schmeling dodało mi bodźca, to też zamierzam jeszcze przed nastaniem zimy ukazać się na ringu: w nowych wielkich zapasach „we dwójce".



— Daj mi pan przynajmniej pokwitowanie, bo żona pomyśli, że wszystko przepiłem...



— Cóż to za pomysł — nowy lis? Nosisz go przecież dopiero drugi rok...
— A cóż to, nie liczysz tych trzech lat, kiedy lis nosił futro?...



— Uwaga!...
— Co za psiakrew?!... To się u pana nazywa uważną jazdą. Niechno pan jeszcze raz spróbuje...

Pierwsze próby uruchomienia maszyny parowej przed 300 laty

Pierwszy patent angielski. — „Maszyna parowa wysokiego ciśnienia" Edwarda Somerseta. — Wynalazek Denis'a Papin'a.

21 stycznia r. b. przypadał 300-letni jubileusz pierwszego patentu na maszynę parową. Brzmi to dziwnie. Bo wszak historja maszyny parowej, jakeśmy się uczyli (o ileśmy się wogóle tego uczyli), zaczyna się dopiero od James Watt'a, a nawet już od Denis'a Papin'a. A jednak w dn. 21 stycznia 1630 roku otrzymał Dawid Ramsay patent angielski Nr. 50-y na przyrząd, „służący do wciągania wody z głębin kopalnianych za pomocą ognia". Te parę słów — to wszystko, co wiemy o owym wynalazku, gdyż stare patenty angielskie nie podają żadnych opisów. Patent więc pozostaje dla nas równie zagadkowy, jak ów zwrot w „Postylli Górskiej" starego kaznodziei Jana Matthesiusa, który w r. 1562 mówi o „wciąganiu wody za pomocą ognia". A może pan Ramsay kazał poprostu opatentować słowa Matthesiusa?...

Przedmiotem wielu rozpraw była pierwotna maszyna parowa wysokiego ciśnienia, na którą Edward Somerset, margrabia Worcester otrzymał przywilej na przeciąg lat 99, dekretem parlamentu z dn. 3 czerwca 1663. W tym samym roku wydał pomysłowy Worcester książeczkę, napisaną już w r. 1655, zawierającą krótki, zapewne rozmyślnie mglisty opis tej maszyny, obok 100 innych jego wynalazków z najrozmaitszych dziedzin. Oczywiście są to wynalazki przeważnie fantastyczne i bez zastosowania praktycznego; podobnie, jak tyle innych pomysłów z tej epoki. To też i maszyny parowej nie wzięto na serjo. Ale ten jeden wynalazek nie podzielił całkowicie smutnego losu wielu współczesnych projektów konstrukcyjnych. Wiemy, że margrabia przez szereg lat pracował w Vauxhall w specjalnym warsztacie, wraz ze swym asystentem Gasparem Kalthoffem, Holendrem. Tutaj też uruchomił niewątpliwie swój „Fire - Water - Work". Mamy na to trzy od siebie wzajemnie niezależne świadectwa z lat pomiędzy r. 1663 a 1670, prócz tego zebrał ogromny materjał, również o tem świadczący, biograf margrabiego, Henry Dirk. Zastanawia nas wprawdzie notatka, donosząca o odwiedzinach Cosima de Medici, syna Wielkiego Księcia Toskańskiego, już w dwa lata po śmierci wynalazcy, t. j. w r. 1669, gdzie jest mowa o maszynie, wymagającej obsługi jednego człowieka zaledwie i wciągającej wodę 40 stóp wzwyż, a tem samem użyteczniejszej niż inna maszyna do wciągania wody, w pobliżu Somersethouse, obsługiwana przez windę górniczą, ciągniętą przez dwa konie; o nowym czynniku działania maszyn, mianowicie o sile pary, niema tu wzmianki. Przyczyną tego przemilczenia może być fakt, że raport został zredagowany przez laików. Ale i uczeni owych czasów ignorowali wynalazek margrabiego. Dlaczego? Czy była to zarozumiałość fachowców wobec wynalazcy - amatora, czy też niechęć, zawiść? Brano mu może za złe, że ze względu na swe ciężkie położenie materjalne, starał się ciągnąć zyski z otrzymanego przywileju, i, że strzegł tajemnicy konstrukcji swego pomysłu, że wogóle otrzymał przywilej, pozwalający mu ukrywać maszynę przed oceną uznanych wielkości? Robert Hooke był jedynym, który był w Vauxhall w r. 1666 lub 1667, ale jemu maszyna wydała się śmiechu warta. Zapewne — Worcester mocno przesadził, nazywając swój wynalazek „najbardziej zdumiewającem dziełem na świecie". Niejednokrotnie uważano go li - tylko za twórcę projektów. Prawda znajduje się prawdopodobnie, jak zwykle, po środku. Maszyna parowa Worcestera była niewątpliwie daleka od doskonałości. Nie mamy żadnych danych, jak pracowała. Pogendorff, który obszernie omawia tę sprawę w swej „Historji Fizyki", przypuszcza, że składała się ona z kotła, z którego para rozchodziła się dalej za pomocą dwóch rur. Para wywierała ciśnienie bezpośrednio na wodę, kurki zaś były regulowane ręką ludzką. Po otworzeniu kurków przedostawała się para do rezerwoaru wodnego i cisnęła wodę w rurę wiodącą ku górze. Otwierano zawsze tylko jeden kurek naraz, tak, że para podnosiła wodę tylko w jednem naczyniu, gdyż była odgraniczona przez drugi kurek od drugiego naczynia, gdzie tymczasem gromadzi się nowy zapas wody. Dzięki temu napełnianiu się i opróżnianiu naprzemian obu naczyń, można było wciągać na górę bez przerwy przez dwolny przeciąg czasu.

Że maszyna Worcestera istotnie w taki mniej więcej sposób pracowała, możemy wnioskować z faktu, że Thomas Savery, który w r. 1698 wystąpił również z maszyną parową swego pomysłu i również patent na nią otrzymał, był najwidoczniej pod silnym wpływem Worcestera.

Fizyk J. Th. Desaguliers twierdzi w r. 1725, że Savery wziął poprostu pomysł żywcem z książki Worcestera, poczem wykupił wszystkie dla niego osiągalne egzemplarze tej książki i zniszczył je, ażeby tym sposobem zatrzeć ślady popełnionej przez siebie kradzieży duchowej. Savery zdołał wprawdzie przedstawić Towarzystwu Royal Society w Londynie, w r. 1699 model własnej konstrukcji, ale i jemu sukces nie był sądzony.

Na wzmiankę zasługuje jeszcze Samuel Morland, który w r. 1682 wynalazł maszynę parową, tak niedokładnie przez niego opisaną w piśmie wydanem w r. 1683, że znowu i tu nic nie wiemy ściślego o budowie i sposobie użycia cylindrów. Na uwagę zasługuje tu zdanie, że woda zamieniona w parę pod wpływem działania ognia, zajmuje 2.000 razy większą przestrzeń niż poprzednio. Następne zdanie: „Za silne (ciśnienie pary), aby się dać utrzymać w zamkniętej przestrzeni, wysadziłoby raczej w powietrze armatę", przypomina tak bardzo pierwszą próbę Worcestera, który istotnie robił takie doświadczenie, że musimy przypuszczać, iż Morland również wzorował się na Worcesterze.

Na nim kończy się okres romantyczny i wkraczamy w początki właściwej historji maszyny parowej, w osobie jej twórcy Denis'a Papin'a. Wybitny ten fizyk, dziś jeszcze powszechnie znany dzięki kociołkowi kuchennemu noszącemu jego miano, obrał inną drogę niż jego poprzednicy. Znane mu były podstawowe prace Toricellego, Guerickego i Boyle'a. Jakkolwiek może to dziwnem się wydawać, doszedł on do maszyny parowej poprzez maszynę gazową. W roku 1673 kierował on doświadczeniami Christiana Huygensa, jako jego asystent, mianowicie próbami wybudowania maszyny eksplodującej za pomocą prochu strzelniczego, — to była podstawa przyszłej maszyny gazowej atmosferycznej. Cylinder i kolby stanowiły główne części składowe tej maszyny. Ale była ona niebezpieczna dla życia ludzkiego! Te doświadczenia wraz z obserwacjami, poczynionemi przy używaniu kociołka kuchennego, wynalezionego przez siebie w r. 1681 doprowadziły Papin'a do nowej konstrukcji maszyny parowej, gdzie poprostu zastąpił ciśnienie gazu ciśnieniem pary: wybudował on pierwszą maszynę parową kolbową, której opis ogłosił drugiem w r. 1690, i której pierwszy wzór skonstruował w Cassel w r. 1698.

Dalszy rozwój maszyny parowej poprzez Papin'a, Newcomen'a do James Watt'a, wielkiego jej reformatora nie należy już do rozdziału o pierwszych próbach po omacku dokonywanych. W roku 1711 udało się Newcomenowi zbudować zdolną do pracy, ekonomicznie cenną maszynę i od tej pory została definitywnie wcielona w życie; z tym momentem nastało stulecie maszyny parowej.

Wśród Książek



Portret nowoczesny Asnyka, jaki ukazał się we włoskiem piśmie.

PRASA WŁOSKA O ADAMIE ASNYKU.

W jedenastym numerze czasopisma „Giovedi", wychodzącego w Medjolanie pod redakcją znakomitego nowelisty Guida Stacchiniego ukazał się obszerny artykuł młodego polonisty warszawskiego p. Pawła Krzowskiego o autorze „Snu Greków". Wytrawny krytyk wykazał duży wpływ przyrody włoskiej na twórczość poety. Asnyk posiadał niczem nieodparty kult do natury; z jednej strony wpłynęły na to fachowe studja przyrodoznawcze; z drugiej strony intuicja poetycka, natchnienie, wyobrażenie, oraz pełne zrozumienie psychiczne przyrody. Obok „Tatr", którym poświęca poeta wiele miejsca w swej twórczości, zachwyca się niemniej wieszcz polski (l'ultimo romantico), jak pisze p. Krzowski — przyrodą włoską, a za przewodnika posłużył mu di Giovanni Pascali, co częściowo wykazali już Prof. Mann (Wpływy włoskie w poezji Asnyka) i p. Julja Dickstein-Wilczyńska (Ze studjów nad Asnykiem). P. Krzowski, znając dobrze język włoski, skreślił artystycznie, stylistycznie i językowo sylwetkę porównawczo - literacką bardzo zajmująco. Podajemy tutaj podobiznę poety, którą „Giovedi" uzupełniło artykuł o Asnyku p. Krzowskiego. Podobno p. Krzowski poświęcił pióro w tymże czasopiśmie współczesnej powieści polskiej, poezji, krytyce literackiej, sztuce teatralnej, czasopiśmiennictwom, pedagogice i nauce, oraz tłumaczy na język włoski „W Rosoczy" ś. p. Jul. Ejsmonda.

E. M. SCHUMMER.

KULT CIAŁA



Moda — — — !

Była taka moda, że należało być bladym, jak przyzwoicie skruszały nieboszczyk. Dama w upalny dzień za nic nie pokazała się na ulicy. Dandys skrupulatnie wyszukiwał cienia, aby pozostać interesującym „bladym Niko".

Aż się znów moda odmieniła. Wszyscy zapragnęli być na wzór Al Jolsona ze „Śpiewającego błazna". W opalonej pannie odnajdujemy ten nieodparty wdzięk, któregośmy naprożno szukali, kiedy była blada. Młody człowiek staje się zachwycający, im więcej upodobnia się do mulata.

Teraz przyszedł taki okres, że w piękne, słoneczne, acz dziwnie skąpe w tym roku dnie, każdy mięczak i wymoczek biegnie co żywo nad Wisłę, aby zaopatrzyć swe kształty w przyzwoitą porcję ultrafjoletowych promieni. Czyni się to, rzecz prosta, dla zdrowia, tężyzny, pod hasłem wychowania fizycznego, ale w rezultacie decydującym czynnikiem jest przeraźliwy, zastraszający, infekcyjny snobizm. Owe infusoria, prażące się i stękające na słońcu ,gotowe są wiele przecierpieć, aby się upodobnić do czerwonoskórych członków plemienia Sjuksów.

Albowiem modny dziś jest heban skóry, jak dawniej modna była bladość całunu...

Zdumiewająca rzecz, jak szybko tej fluktuacji mody ulegają najwykwintniejsze umysły. Wytworni intelektualiści rumienią się ze wstydu, spoglądając w lustro na białość swej twarzy. I z ciężkiem westchnieniem odkładają na bok pasjonujący „Dwór w Ferrarze" Chłędowskiego lub też wzruszającą opowieść Boy'a o Narcyzie, aby wdziać krótkie majtki, i wzorem żałosnych pingwinów, bezmyślnie krążyć po piaszczystych diunach i wydmach nadwiślańskich. Bo przecież niepodobna rozmyślać na „Poniatówce" o tragicznej reinkarnacji biednego Pamiro, tak pięknie opowiedzianej przez pana Massino Bontempelli... A jeśli już oderwani byliśmy od lektury Boy'a, to, patrząc na wijące się w upalnym ogniu ciała kobiet, opacznie pojmować zaczniemy... „Piekło kobiet".

Bo oto panna Bożenka Knipserżanka, wycierając łopatki olejkiem migdałowym, powiada do rudego sąsiada:

— Panie Mieciu, co pan sądzi o Witkiewiczu?

Pan Miecio, wpatrzony nieprzytomnie w łydki panny Bożenki, nie wierzy w kosmiczną transcedentalność erotyzmu Witkiewicza.

— Pani ma śliczne nóżki, panno Bożenko.

Opodal młody Ryś Szeps, najchętniej obracający się w sferach ciężkiego przemysłu, ze słusznego zresztą wychodząc założenia, że tam, gdzie ciężki przemysł, ciężkie też muszą być pieniądze, z zapałem emabluje panią Fogelband-Ptasznicką (mąż — właściciel fabryki kielsztosów!)

Megafony ryczą tęskną melodję Stefci Górskiej. „Nasza jest noc, i oprócz niej nie mamy nic..." na piasku przewracają się ociężałe ciała, z rzeki dolatuje radosny wrzask i szum cierpliwie przelewanej wody. Obok czarująco pięknych kobiet przesuwa się brzuch obrzydliwego mężczyzny. Czy można sobie wyobrazić coś potworniejszego, niż goryla na plaży, owłosionego, o kabłąkowatych nogach, o brzuchu, zdradzającym nadmierne upodobanie do piwa, o żółtej łysinie, lśniącej jak cerkiewna kopuła, o nosie, osiodłanym parą złotych lub pozłacanych binokli.

— Jakiem prawem — wołam — ten potwór śmie za jedne dwa złote obrzydzać innym człowieczeństwo!

W biurze, za podwójnemi drzwiami, ten pan wygląda dostojnie, potrafi nawet wzbudzić pewien szacunek dla rozmiarów swego brzucha, ale na plaży, w kusym kostjumie, odsłaniającym jego zapadłą pierś, laskonogie kończyny i t. d. — wzbudza odrazę.

— Posterunkowy, zabrać tego goryla!

Nierównie jednak przeraźliwiej wyglądają starsze, grube panie. Kto zdoła opisać bezmiar tego oto biustu, opromienionego świętym nimbem macierzyństwa! Na sam widok pokracznych skrętów i fałdów, i wypukłości, i wgłębień, każdy obwieś cofa się wstecz. Ta djabelska wizja zdolna jest sprawić, że Don Juan do końca dni żywota poprzysięga dochować czystości pobożnych Młodzianków. Cofając się zaś, szepce jeszcze wylękłemi usty werset za świątobliwym ks. Lantigne:

— *O, quando finieris et quando cessabis, universa vanitas mundi?*



Ludziom, posiadającym dużo wyobraźni, Wisełka może również zastąpić morze.



Niema to jednak, jak rozkosze plaży polskiego morza.



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.